



*Danielle Steel*



*CVD*

*...cała ludzka mądrość zawiera się w słowach:  
czekaj i miej nadzieję!*

*Aleksander Dumas, **Hrabia Monte Christo***



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Był deszczowy listopadowy dzień. Jacht „Victory” elegancko wpłynął do starego portu w Antibes. Quinn Thompson spokojnie żegnał się z łodzią, obserwując wzburzone morze i ciesząc oczy widokiem żagli. Zła pogoda i fale były bez znaczenia, ponieważ był wytrawnym, doświadczonym żeglarzem. „Victory” liczył sto pięćdziesiąt stóp i miał potężne silniki; Quinn wycarterował go od biznesowego partnera z Londynu. Właściciel jachtu był tego roku bardzo zajęty, więc Quinn mógł się nim cieszyć już od początku sierpnia. Wykorzystywał każdą okazję - żeglowanie było dla niego najlepszą terapią. Czuł się silny, zdrowy i znacznie spokojniejszy od chwili, kiedy wypłynął w rejs. Był dojrzałym, dobrze zbudowanym, przystojnym mężczyzną. Ale w miarę upływu czasu coraz bardziej poddawał się losowi.

Zaokrętował się we Włoszech, po czym popłynął do Hiszpanii i do Francji. Jak zwykle trzeba było zmagać się z burzami w Zatoce Lwiej, ale ucieszyła go ta nieoczekiwana walka z żywiołem. Potem popłynął do Szwecji i Norwegii. Wracał niespiesznie przez niemieckie porty. Spędził na łodzi pełne trzy miesiące, i to nie bez przyczyny.

Potrzebował samotności, czasu na przemyślenia nad tym, co wydarzyło się w jego życiu. To dlatego opóźniał powrót do Kalifornii. Nic nie ciągnęło go do domu. Jednak nieuchronnie nadchodziła zima, nie mógł więc przedłużać rejsu w nieskończoność. Właściciel łodzi chciał ją mieć na Karaibach, gotową na rejs bożonarodzeniowy, co było warunkiem wypożyczenia. Quinn zapłacił za swój kaprys fortunę, ale nie żałował ani centa. Wysoka cena nie miała znaczenia dla takiego człowieka jak Quinn Thompson. Stać go było na to, i na wiele więcej. Materialnie i zawodowo powodziło mu się znakomicie.

Czas spędzony na pokładzie uświadomił mu, że uwielbia żeglarstwo. Nie przeszkadzała mu samotność - tak naprawdę bardzo jej potrzebował - a załoga była świetnie wyszkolona i dyskretna. W jednej chwili zorientowała się, że Quinn zna się na rzeczy, w przeciwieństwie do właściciela „Victory”, który był kompletnym

dyletantem. Dla Quinna łódź okazała się zarówno rajem, jak ucieczką, szczególnie w fiordach. Ich surowe piękno odpowiadało mu psychicznie o wiele bardziej niż romantyzm Morza Śródziemnego, którego konsekwentnie unikał.

Spakowane bagaże czekały w kabinie. Stał na pokładzie, otoczony zgraną profesjonalną załogą. Wiedział, że wszystko, co działo się na jachcie, natychmiast pójdzie w niepamięć. Zatrudnił sześciu mężczyzn i jedną kobietę, żonę kapitana, która pracowała jako stewardesa. Była małomówna jak reszta; wszyscy byli Anglikami. Z kapitanem układało mu się bardzo dobrze.

- Przepraszam za tego gościa, który wszedł panu w drogę - powiedział kapitan, doskonale wiedząc, że Thompson nie będzie miał pretensji.

Quinn kiwnął głową, nie reagując na deszcz i bryzgi fal. Miał sztormiak, a poza tym lubił wyzwania na morzu. Jedyne, co mu się nie podobało, to perspektywa opuszczenia pokładu. Z kapitanem zaprzyjaźnili się, godzinami rozmawiając o żegludze i o egzotycznych portach, które poznali. Kapitanowi zaimponowało to, że Quinn Thompson był obyty w świecie i że z niejednego pieca chleb jadł; poza tym otaczała go sława rekina finansowego. Właściciel jachtu uprzedził kapitana, że Quinn zrobił przysłowiową karierę od pucybuta do milionera. Wyraził przy tym opinię, że jest nadzwyczaj utalentowanym człowiekiem, a po trzech miesiącach na morzu kapitan mógł to potwierdzić. Bardzo wielu ludzi podziwiała Quinna Thompsona, wielu się go bało, a kilku nienawdziło, i to nie bez powodu. Był prostolinijny, uczciwy i miał wielkie wpływy. Nie do końca znano jego tajemnice, ale wiadano, że zdobywa to, czego chce. Był niezwykle kreatywny, świetny jako specjalista i był człowiekiem małomównym, chyba że się rozgadywał po paru kieliszkach koniaku. Właśnie takie rozmowy kapitan cenił sobie najbardziej. Zazwyczaj jednak rozprawiali o nawigacji, która była ich konikiem.

Kapitan wiedział, że poprzedniej wiosny Quinn stracił żonę, o której wspominał tylko raz czy dwa. Zwłaszcza na początku rejsu często popadał w nostalgię, chociaż przez większość czasu zachowywał się bardzo racjonalnie.

Kapitan wiedział, że miał on także córkę, ale Quinn wspomniał o niej bodaj tylko raz. Należał do ludzi, którzy wolą dzielić się myślami niż uczuciami.

- Powinien pan spróbować odkupić „Victory” od pana Barclaya - zasugerował z nadzieją kapitan, kiedy załoga opuszczała żagle.

Wrócił do steru, spoglądając przez ramię na Quinna. Ten tylko się uśmiechnął. Niełatwo mu to przychodziło, ale kiedy się uśmiechał, był to wyjątkowo miły widok. Uśmiech rozświetlał jego twarz niczym letni poranek. Poza tymi chwilami nastrój miał raczej ponury, zimowy. Kiedy się śmiał, stawał się innym człowiekiem.

- Myślałem o tym - odparł - ale nie sądzę, by chciał mi ją sprzedać.

Quinn, jeszcze zanim wyczarterował łódź, pytał Johna Barclaya, czy ma jakiegokolwiek szanse na jej kupno, ale Barclay powiedział, że sprzeda ją dopiero w ostateczności. Oświadczył, że jest jego oczkiem w głowie, co Quinn rozumiał i szanował. Nie powtórzył jednak tej odpowiedzi kapitanowi. W ciągu minionych trzech miesięcy rozmyślał o kupnie łodzi. Od lat nie miał własnego jachtu, a teraz nie było mowy, żeby zrezygnował z tego postanowienia.

- Powinien pan mieć swój jacht - kapitan ostrożnie wrócił do tematu.

Bardzo chętnie pracowałby dla Quinna, człowieka wymagającego, ale uczciwego. Żeglowanie z nim było podniecającą przygodą. Na pokładzie „Victory” robił takie rzeczy i pływał do takich miejsc, o jakich Johnowi Barclayowi nawet się nie śniło. Cała załoga była szczęśliwa, że miała okazję spędzić trzy miesiące z Quinnem Thompsonem. A on już od sierpnia rozmyślał nad kupnem lub budową łodzi, szczególnie teraz, gdy przygoda z „Victory” zbliżała się ku końcowi.

Byłby to poza wszystkim znakomity pretekst, by opuścić San Francisco. Już postanowił, że sprzeda dom i kupi sobie mieszkanie gdzieś w Europie. Miał sześćdziesiąt jeden lat, od dwóch lat prowadził życie rentiera, a teraz, kiedy na świecie nie było Jane, nie miał po co pozostawać w tym mieście. Był pewien, że łódź wniesie radość do jego życia, już to zresztą wypróbował. Ludzie, co wiedział z własnego doświadczenia, często zawodzili. Łódź nigdy go nie zawiodła.

- O tym samym pomyślałem dziś rano - odpowiedział cicho.

Był wściekły, że musi opuścić „Victory”, który za dwa dni miał wyruszyć do Gibraltaru, by Barclay mógł zabrać swą rodzinę w świąteczny rejs. Rejs ten był zresztą możliwy dzięki pieniądзом, jakie zarobił na Quinnie. Dzięki nim z pewnością stać go będzie na utrzymywanie jachtu jeszcze przynajmniej przez rok.

- Słyszał pan może o czymś do kupienia porównywalnej klasy? - spytał z zainteresowaniem. Kapitan nie odpowiedział, pilnując kursu, gdyż wpływali właśnie do kanału.

- Nie wiem o niczym, co sprostałoby pańskim wymaganiom, przynajmniej jeśli chodzi o łodzie żaglowe - odparł po chwili.

Na rynku wtórnym pojawiało się sporo ofert sprzedaży potężnych łodzi motorowych, ale z jachtem, jaki chciałby mieć Quinn, był kłopot. Właściciele takich łodzi kochali je nad życie i bardzo niechętnie się z nimi rozstawiali. Kapitan wciąż rozważał to zagadnienie, kiedy zameldował się bosmanmat. Zadał mu pytanie o jacht, a Quinn ze zdziwieniem spostrzegł, jak młody człowiek kiwa głową.

- Słyszałem o takiej łodzi dwa tygodnie temu, kiedy wypływaliśmy z Norwegii - powiedział. - Nie jest jeszcze skończona, ale właściciel, Bob Ramsay, chce ją sprzedać. Wciąż stoi w doku w Holandii. Zamówił ją w ubiegłym roku, jednak teraz chciałby mieć jeszcze większą. Mówili mi, że to piękny jacht.

Wszyscy trzej zdawali sobie sprawę, że musi być wspaniała, skoro zamówił go Ramsay, doświadczony żeglarz i właściciel trzech świetnych łodzi, na których najczęściej wygrywał regaty na całym świecie. Amerykanin, miał żonę Francuzkę i mieszkał z nią w Paryżu. Stał się legendą żeglarskiego świata, a wszystkie jego jachty budziły powszechną zazdrość.

- Wie pan może, w której jest stoczni? - spytał Quinn, zastanawiając się, czy tę informację otrzymał w odpowiedzi na swoje modlitwy.

- Wiem - odparł z uśmiechem marynarz. - Zadzwoń tam z portu, jeśli pan chce.

Quinn wykupił bilet na popołudniowy lot do Londynu, gdzie miał przenocować, by rano odlecieć do San Francisco. Jego córka Alex mieszkała w

Genewie. Zadzwoił z propozycją spotkania, ale odparła, że nie ma z kim zostawić dzieci. Znał prawdziwy powód odmowy, ale nie miał już sił, by walczyć z Alex. Konflikt między nimi był zbyt przykry i ciągnął się już nazbyt długo. Nigdy nie wybaczyła mu tego, że, jak twierdziła, zaniedbywał ją w dzieciństwie. A całkiem niedawno powiedziała, że nigdy nie wybaczy mu tego, że tak późno zawiadomił ją o chorobie matki. Musiał przyznać jej rację, zbyt długo łudził się nadzieją na poprawę zdrowia Jane i istotnie z dużym opóźnieniem powiadomił Alex.

Ani on, ani Jane nie dopuszczali myśli, że śmierć zbliża się szybkimi krokami. Powtarzali sobie jak mantrę, że wszystko będzie dobrze, że uda jej się wyzdrowieć. Jane zgodziła się, by zawiadomił córkę dopiero na kilka dni przed końcem. Jednak nawet wtedy nie wierzyli, że przyjdzie najgorsze. Zastanawiał się teraz, czy ich pragnienie bycia jak najdłużej, jak najbliżej razem, nie przełożyło się podświadomie na wykluczenie córki z rodzinnej tragedii.

Kiedy Alex przyleciała zobaczyć się z matką, Jane konała. Było to na dwa dni przed zgonem - cierpiała tak straszliwie, że leki nie uśmierzały bólu. Alex mogła z nią rozmawiać tylko chwilami, gdy ból ustawał, a i wtedy Jane z uporem powtarzała, że wszystko będzie w porządku. Alex była w szoku ze zgrozy i rozżalenia i nie kryła nienawiści do ojca. Cały jej ból i poczucie straty dołożyły się do zadawnionych pretensji, jakie do niego żywiła.

Wściekłość wybuchła jak płomień i zmieniła się w odrazę. Natychmiast po powrocie do domu przysłała Quinnowi jeden jedyny przejmujący w swej rozpacz list, po czym, a trwało to całe miesiące, ani razu pierwsza nie zadzwoniła. Błagania Jane, już na łożu śmierci, by się wreszcie pogodzili i zaczęli traktować jak rodzina, nie przyniosły rezultatu. Po śmierci żony Quinn dał za wygraną. Cierpiał na myśl, że Jane byłaby bardzo nieszczęśliwa, widząc, jak drogi jego i córki się rozchodzą, ale nie potrafił nic w tej sprawie zrobić. Ponadto w głębi serca przyznawał Alex rację. Bez złych intencji zrobił jej krzywdę, oszukując zbyt długo, żeby miała czas pożegnać się z matką tak, jak by tego pragnęła.

Przed dwoma dniami zadzwonił z pokładu „Victory”, traktując to jako ostatnią próbę pojednania z córką. Próba ta spotkała się z lodowatym przyjęciem. Teraz wydawało się, że przepaść między nimi jest nie do zasypania. Kompleksy Alex z dzieciństwa utrwaliły się zbyt silnie. Przez wszystkie te lata Quinn zajmował się budowaniem imperium finansowego i prawie nie poświęcał czasu rodzinie. Jane rozumiała go i wybaczała mu, wiedząc, jak wiele znaczy dla niego praca. Nigdy o nic go nie oskarżała, przeciwnie, była dumna z wszystkich jego osiągnięć, choćby działo się to jej kosztem.

Alex jednak nienawidziła go za to, że nie miał dla niej czasu, że nie interesował się jej problemami zwłaszcza w trudnym okresie dorastania. Powiedziała mu o wszystkim w dniu pogrzebu, z furią oskarżając go, że bagatelizował śmiertelną chorobę matki. Choć z wyglądu była podobna do delikatnej, drobnej Jane, charakter odziedziczyła po ojcu. Była nawet bardziej bezkompromisowa i bezlitosna od Quinna, zachowywała się podobnie jak on we wczesnej młodości. Dlatego nie potrafił bronić się przed jej gniewem. Racja była po jej stronie.

Quinn miał swoje słabe strony, charakteryzował go rodzaj wrażliwości, której obcy ludzie nie dostrzegali, natomiast Jane ją w nim widziała i za to najbardziej go ceniła. Alex natomiast, odziedziczywszy jego siłę, nie miała w sobie ani odrobiny współczucia czy zrozumienia. Potrafiła być zimna jak góra lodowa, co wręcz przerażało Quinna. Nienawiść hodowała w sobie latami i stało się jasne, że nie zejdzie z raz obranej drogi. Szczególnie teraz, kiedy miała konkretny powód. Rozpad więzi między ojcem a córką stał się faktem. Rzeczywiście nie chciał podzielić się z Alex ostatnimi chwilami życia Jane.

Wobec wizji katastrofy żył w zakłamaniu. Chciał naprawić błędy, powiedzieć żonie to wszystko, czego nie mówił jej przez lata, o czym dawniej nawet nie myślał. Właśnie w ostatnich dniach Jane podzieliła się z nim swoimi zapiskami - dziennikami i wierszami. Przez całe życie sądził, że wie wszystko o swojej żonie, a tymczasem okazało się, że nie wiedział o niej nic.



Na pozór była osobą spokojną, nienarzucającą się ludziom, a tymczasem pod tą maską żyła kobieta o niezwykle silnych uczuciach i namiętnościach, nakierowana wyłącznie na niego, kobieta o wielkiej głębi duchowej, którą poznał i zrozumiał za późno. Oskarżenia Alex mniej go bolały od zasłużonych samooskarżeń. Nie umiał sobie wybaczyć. Lekceważył Jane, nie miał dla niej czasu. Tak jakby się jej wyparł, w znacznie większym stopniu niż córki. Jane bywała czasem zła, podobnie jak Alex, ale potem jeszcze bardziej go kochała, więcej wybaczała. Przeżywał to teraz bardzo mocno, gnębił go wstyd i zdawało mu się, że tak już będzie do końca życia. To było jak zbrodnia, zwłaszcza kiedy po jej śmierci dokładnie przeczytał pamiętniki. Wziął je w podróż i studiował miesiącami, przez całe noce.

Jeszcze bardziej rozdzierające były jej miłosne wiersze. Była cudowna, była skarbem; za życia nie potrafił jej docenić. Jak na ironię pojmował to dopiero teraz. Za późno, za późno, za późno. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to żałować za grzechy i rozpamiętywać tę niewyobrażalną stratę. Nie było sposobu, by wszystko odwrócić, naprawić, przysiąc, że się zmieni, choć pokajał się przed Jane w obliczu jej śmierci. Co gorsza, Jane wszystko mu wybaczyła, zapewniła, że nie powinien mieć sobie nic do zarzucenia.

To ona przysięgała, że była z nim przez całe życie szczęśliwa, co tylko potęgowało poczucie winy. Jak mogła być szczęśliwa z mężczyzną, który prawie nie poświęcał jej uwagi, interesując się tylko sobą i sprawami zawodowymi? Alex go za to nokautowała, Jane wszystko wybaczała. Kochała go i dawała temu wyraz w wierszach, ofiarowując mu bezgraniczne poświęcenie, na które, jak sam wiedział, nie zasługiwał. Teraz co noc dręczyły go koszmary. Przychodziła we śnie, błagając, by wreszcie wrócił do domu, żeby jej nie porzucił, nie zapomniał.

Quinn zrezygnował z pracy na rok przed jej śmiercią i spędzili ten czas na podróżach do miejsc, które zawsze chciał zobaczyć. Jane jak zwykle była idealnym towarzyszem, jeździła wszędzie, gdziekolwiek tylko chciał. Byli na Bali, w Nepalu, w Indiach, w najdalszych zakątkach Chin. Wybrali się też do swych ulubionych krajów - do Maroka, Japonii i Turcji. Ta długa podróż bardzo ich zbliżyła. Quinn nie

pamiętał już, że jego żona potrafi być szalenie dowcipna, że nie sposób się z nią nudzić. Powtórnie zakochali się w sobie i nigdy wcześniej nie byli tak szczęśliwi.

Ciężką, właściwie beznadziejną chorobę Jane odkryli dopiero w Paryżu. Od wielu miesięcy miała kłopoty z żołądkiem, które bagatelizowali, uważając, że to nieszkodliwy skutek wciąż zmieniającej się diety. Po powrocie do domu i po powtórnym przebadaniu diagnoza się potwierdziła. Nie uwierzyli w werdykt, a raczej wyrok lekarzy. Nie chcieli wierzyć.

Quinn wiedział dzisiaj, że Jane pierwsza zrozumiała powagę sytuacji. Lekceważyła to jednak, walczyła do końca. Miesiącami cierpiała w milczeniu, nie chcąc mu psuć wrażeń z wymarzonej podróży, w którą wreszcie, po latach, mógł się wypuścić. Miała mu nawet za złe, że wrócili do domu, odwołując loty do Brazylii i Argentyny. Teraz wszystko to wydawało się takie bezsensowne, takie nieważne. Bez niej.

Byli małżeństwem przez trzydzieści siedem lat. Jane, umierając, miała pięćdziesiąt dziewięć. Alex skończyła trzydzieści cztery lata, a jej brat Doug, gdyby żył, miałby trzydzieści sześć. Zginął w wypadku na łódce jako trzynastoletni chłopiec. Quinn wspominał go z głębokim poczuciem, że właściwie nie znał własnego syna. Miał czego żałować i co rozpamiętywać, póki starczy życia. Jane zmarła w czerwcu. Teraz, w Antibes, był listopad. Quinn przez pięć miesięcy co dzień przeżywał jej stratę. Zawiódł na całej linii, co było niewybaczalne. Przypominały mu o tym dzienniki Jane i Alex, która go oskarżała o najgorsze.

Po zacumowaniu do kabiny Quinna przyszedł kapitan z informacją o łodzi budowanej w holenderskim doku. Cały promieniał, zaciskając kciuki na szczęście.

- Łódka ma sto osiemdziesiąt stóp długości i jest piękna jak marzenie. To kecz. Ludzie mówią, że jest zainteresowanie, ale na razie nikt jej nie kupił. Ramsay dopiero niedawno zdecydował się na sprzedaż. - Spojrzenia obu mężczyzn się spotkały, a na twarzy Quinna pojawił się uśmiech. Najszcześniejszy, jaki kapitan do tej pory u niego widział. Przez większą część wspólnej podróży widywał go w ponurym, cierpiętniczym nastroju. - Pojedzie pan zobaczyć? - spytał z nadzieją. -

Mozemy zaraz przebukowac panu bilet. Lot do Amsterdamu jest pół godziny po zamówionym do Londynu.

Quinn nie wierzył własnym uszom. To wszystko było czystym szaleństwem. Jacht na sto osiemdziesiąt stóp? A właściwie, dlaczego nie. Mógłby na nim żeglować do końca życia. Żadna perspektywa nie odpowiadałaby mu teraz bardziej. Mógłby popłynąć do wszystkich portów, których jeszcze nie znał. Nic nie musiałby zabierać, poza dziennikami i wierszami Jane - najważniejszymi dla niego pamiątkami. Czytał je wciąż na nowo, za każdym razem zachwycony jej szczerością, otwartością, z jaką wyrażała swą miłość dla niego.

- Zwariowałem? - spytał kapitana po minucie. Taka łódka! Sto osiemdziesiąt stóp! Czuł, że spotkało go większe szczęście, niż mógłby sobie wymarzyć.

- Ani trochę. To wstyd, że żeglarz takiej klasy jak pan nie ma własnego jachtu - odpowiedział kapitan.

Na razie nie proponował Quinnowi swoich usług, nie chciał mu narzucać decyzji. Gdyby Quinn faktycznie kupił łódź, zamierzał natychmiast mu je zaproponować. Nie lubił Johna Barclaya, właściciela „Victory”; Quinn Thomson był takim facetem, dla którego chciałby pracować - zapalonym żeglarzem. Dla Barclaya pełnomorski jacht był niczym żaglówka na jeziorze, w zasadzie nie potrzebował nawet doświadczonego kapitana. Przez większość czasu cumował w portach albo na kotwicy, a jego rodzina pływała w morzu.

- Potrzeba co najmniej roku, żeby skończyć budowę, może trochę mniej, gdyby pan naciskał. Przed końcem lata można by wyruszyć w rejs. No, w ostateczności w kolejnym sezonie - dodał.

- Dobrze. - Quinn odzyskał pewność siebie. - Wchodzę w to. Proszę zamienić bilet, jeśli pan tak dobry. Do Londynu mogę polecieć później. - Nie miał umówionego spotkania, wszystko to była jedna wielka improwizacja, ale pragnął tego jachtu. Teraz nic nie mogło go powstrzymać. - Zadzwoń pan do stoczni, żeby uprzedzić o moim przyjeździe? - zapytał z błyskiem w oku.

- Porozmawiam z nimi. Szef będzie pana oczekiwał.

- Trzeba zarezerwować hotel. Tylko na dzisiaj. Jutro polecę prosto do Londynu. - Decyzja była nagła, ale Quinn niczym nie ryzykował. Jeśli łódź mu się nie spodoba, nie musi jej kupować. Mógłby, na przykład, rozpocząć budowę własnej, ale do realizacji planu musiałby poczekać. Na taką, jaką zamówił Ramsay, co najmniej dwa lata, a może jeszcze dłużej.

Kapitan zrobił wszystko, co obiecał, i pół godziny później Quinn już żegnał się z załogą. Każdemu z marynarzy zostawił sowity napiwek, a kapitan otrzymał imponujący czek. Obiecał też, że poinformuje go, jak poszły sprawy w Holandii. Jadąc wynajętą limuzyną na lotnisko w Nicei, Quinn zastanawiał się nad tym, co powiedziałyby na to wszystko Jane. Wciąż pragnął dzielić się z nią swymi myślami i marzeniami, lecz odpowiedzią była pustka. Przymknął na chwilę oczy, usiłując ją sobie wyobrazić, ale zmusił się, by znów je otworzyć. Nie było sensu zamykać się w smutku jak w grobie. Walczył o to od pół roku. Jednego był pewien - własna łódź to jedyny krok do wolności, do opuszczenia miejsc, w których cierpiał wraz z Jane i w których nie chciał dłużej przebywać. Jacht - to było to. Tu mógłby żyć.

I nie chodziło o zastąpienie czymś żony, która odeszła. Miał bowiem poczucie, że ona życzyłaby mu właśnie tego. Jak zawsze. Czegokolwiek pragnął, ona go w tym wspierała, nawet te najbardziej szalone pomysły.

Jane rozumiała wszystko w lot, nikogo lepszego nie znał. Ona jedna odczuwałaby tak jak on. Była jedyną kobietą, jedyną istotą obdarzającą go bezgraniczną miłością. Gdyby żyła, ich wspólne życie brzmiałoby teraz jak miłosny poemat - jak jeden z tych, które pozostawiła mu w spadku.

## *ROZDZIAŁ DRUGI*

Samolot wylądował w Amsterdamie o szóstej. Quinn wziął taksówkę i zamówił kurs do Amstela. Był to jeden z jego ulubionych hoteli w Europie. Staroświecka elegancja i nienaganna obsługa przypominała atmosferę paryskiego Ritza. Zamówił kolację do pokoju i poszedł spać, z nostalgią wspominając „Victory”, ale i ciesząc się, że rano zobaczy nową łódź.

Spał dobrze i już o siódmej rano był gotów do drogi. Musiał jeszcze poczekać na zamówiony samochód, przeczytał więc przy śniadaniu „Herald Tribune”. Droga do doków zajęła mu godzinę, tak że o dziewiątej witał się z sympatycznym właścicielem stoczni, potężnie zbudowanym, starszym o parę lat od niego Temem Hakkerem, który miał już na biurku wszystkie plany. Był przygotowany także w innym sensie - czytał sporo o wyczynach Quinna i odbył kilka rozmów, które pozwoliły mu wyrobić sobie zdanie o nowym kliencie: człowieku twardym, którego należało się bać, gdy ktoś mu nadepnał na odcisk.

Quinn usiadł wygodnie w fotelu, a jego błękitne oczy z uwagą śledziły szczegóły budowy, które prezentował mu szef i jego dwaj synowie. To oni sporządzili projekt i nie bez racji byli z niego bardzo dumni. Łódź miała być absolutnie wyjątkowa, a im więcej Quinn się o niej dowiadywał, tym bardziej rosło jego uznanie dla geniuszu Boba Ramsaya. Wielki jacht był wyposażony niemal we wszystko, o czym żeglarz mógł zamarzyć. Niemal, bo Quinn miał własne techniczne sugestie, które z kolei budziły podziw Hakkerów.

- Musiał zwariować, że chce się pozbyć takiej łodzi - powiedział Quinn, kiedy już skończyli omawiać plany. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie ją zobaczy.

- Budujemy mu drugą, osiemdziesięciometrową - z dumą oświadczył stary Hakker.

Osiemdziesiąt metrów to dwieście sześćdziesiąt stóp, jak obliczył Quinn, któremu jednak w zupełności odpowiadały wymiary łodzi, którą chciał kupić.

- To powinno go zadowolić - skomentował Quinn i spytał, czy mogą już przejść do doku.

Na widok jachtu przystanął oszołomiony, tak wielkie wrażenie wywarł na nim sam kadłub. Część wyposażenia była już skompletowana. Główny maszt, wysoki na sto dziewięćdziesiąt stóp, miał dźwigać osiemnaście tysięcy stóp kwadratowych żagla. Uroda łodzi zapierała dech, dla Quinna była to miłość od pierwszego wejrzenia. Pomyślał, że musi ją mieć. Taki już był, a raz podjętej decyzji nie zmieniał.

Przez godzinę oglądali łódź, omawiając zmiany, jakie chciałby wprowadzić Quinn, a potem wrócili do biura. Cena Ramsaya była już ustalona, więc Tem Hakker, skalkulowawszy koszt przeróbek, po paru minutach rzucił astronomiczną cenę.

Quinn nie okazał emocji, ale natychmiast ją skontrolował. Zapadła długa cisza, po czym Hakker, oceniając tym razem także walory osobiste Quinna, kiwnął głową na zgodę. Uścisnęli sobie ręce. Interes został ubity, w grę wchodziły wielkie pieniądze, ale obaj byli pewni, że jacht wart jest swojej ceny. I obaj byli zadowoleni. Quinn powiedział, że zależy mu na terminie sierpniowym, który był od początku mało realny. Jednak teraz, kiedy już zobaczył łódź, nie mógł się doczekać, by się zaokrętować i rozpocząć wielką ucieczkę od dotychczasowego życia. Wydawało mu się, że przyjdzie mu czekać wieczność, ale nawet to było w tych warunkach emocjonujące.

- Sądziłem, że zgodzi się pan na listopad, no, w ostateczności na październik - ostrożnie zaproponował Tem Hakker.

Quinn Thompson był trudnym negocjatorem. Ostatecznie umówili się na wrzesień. Przy odrobinie szczęścia mógł to być początek miesiąca, w ostateczności pierwszy dzień października.

- Przeżyję, skoro nie da się inaczej - oświadczył Quinn.

Już planował, że będzie przylatywał tak często, jak się da, by nadzorować prace i pilnować terminu. Miał minąć prawie rok, nim wyruszy w rejs.

W południe opuścił stocznię po wypisaniu czeku z wieloma zerami i zadzwonił do kapitana „Victory”, by podziękować mu za pomoc i pośrednictwo.

- Dobra decyzja. - Kapitan był zachwycony. - Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. - Zamierzał jak najszybciej napisać do Quinna w sprawie pracy, bo nie chciał załatwiać tego przez telefon. Quinn zresztą myślał o tym samym.

Miał milion pomysłów i planów. Pomachał Hakkerom na pożegnanie. Byli zadowoleni z zawartej umowy może nawet bardziej niż Quinn. Nie byłoby łatwo korzystnie sprzedać łódź tej klasy i rozmiarów. Quinn Thompson, jadąc na lotnisko, by złapać samolot, był pewien, że oto znalazł sobie nowy dom.

Musiał sprzedać dom w San Francisco i uporządkować interesy. Nie było tego zresztą tak wiele. Zaprzętała go teraz wyłącznie łódź i przyszłość, jaka się wiązała z tą transakcją. Dzięki temu będzie mu łatwiej wracać do domu pełnego wspomnień, tak przynajmniej sądził.

Kiedyś, dawno temu, miał niedużą łódkę i zachęcał swe dzieci, by nauczyły się żeglować. Alex, podobnie jak Jane, nie znosiła tego sportu, a Doug zginął na letnim obozie w Maine. Wtedy Jane przekonała go, że powinien łódź sprzedać. I tak nie miał czasu, by z niej korzystać, więc się zgodził. Przez następne dwadzieścia lat od czasu do czasu czarterował jachty od znajomych i zwykle pływał sam, bo Jane nie chciała. Teraz, nagle, otwierał się przed nim nowy świat. I nowy, zapewne ostatni rozdział życia, z cudowną perspektywą niekończącej się podróży na jachcie idealnie przystosowanym do tego celu. Uśmiechał się do własnych myśli, wchodząc na pokład samolotu lecącego do Londynu. Całą noc w hotelu spędził na robieniu notatek. Czuł się zupełnie innym człowiekiem.

Już w samolocie do Ameryki zrozumiał, że San Francisco niebawem przestanie być dla niego rodzinnym miastem. Pozostały tu tylko wspomnienia lat spędzonych z Jane, a te mógł wszędzie zabrać ze sobą. Gdziekolwiek się uda, ona zawsze będzie mu towarzyszyć.

Woził w walizce jej dzienniki, a pod ręką miał ulubiony wiersz. Przeczytał go kilka razy, jak zwykle, a potem zapatrzył się w okno. Był tak zatopiony w myślach,

że nie usłyszał głosu stewardesy, która zapytała, czy podać mu coś do picia. Zamiast szampana poprosił o Krwawą Mary. Był pierwszym pasażerem, któremu przyniosła drinka. Na szczęście miejsce obok było puste, bo nie znośił rozmawiać w samolocie. Stewardesa wróciła do kuchni i powiedziała koledze, że to na pewno ktoś ważny. Ten wyjrzał i orzekł, że nie rozpoznaje w nim nikogo sławnego, choć facet jest bardzo przystojny. I nieprzystępny, co było szczerą prawdą.

- To na pewno biznesmen, zmęczony po tygodniu biznesowych spotkań w Londynie - ocenił steward.

Jeszcze kilka lat temu wszystko by się zgadzało, ale teraz Quinn był kimś innym. Był właścicielem niepowtarzalnego jachtu. Tylko dlatego mógł spokojnie wracać do San Francisco, choć umarła mu żona, przedtem syn, a jedyna córka zamiast miłości okazywała mu wrogość. Był sam jak palec, nikt go nie kochał, nikt się o niego nie troszczył. Za kilka godzin wejdzie do pustego domu. Dzielił go z kobietą, której nie znał, a której mnóstwo zawdzięczał i nie zdążył jej odpłacić tym samym. Jeszcze raz przeczytał wiersz i schował go do teczki. Przymknął oczy. Pojawiła się przed nim twarz Jane. Z bolesnym wysiłkiem przypominał sobie każdy detal, dźwięk jej głosu i śmiechu. Bał się, że wspomnienia zblakną z czasem, ale wielką pomocą były pozostawione zapiski. Klucz do tajemnicy jej życia, przez wiele lat zapieczętowanej, nierozumianej. Tylko to się liczyło.



## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Samolot wylądował o czasie i Quinn szybko przeszedł przez odprawę. Mimo długiej nieobecności nie miał nic do oclenia. Był w ponurym nastroju. Ze spuszczoną głową wziął walizkę i teczkę, po czym opuścił lotnisko. Nie spieszyło mu się do pustego domu, w dodatku w samolocie uprzytomnił sobie, że zbliża się Święto Dziękczynienia. Nie myślał o tym, czyniąc plany na najbliższe dni. Poza tym, co miałyby ze sobą robić? Czas czarteru na „Victory” się skończył i nie było powodu siedzieć beczynn timer w Europie, szczególnie że Alex nie miała dla niego czasu.

Odmówiła uprzejmie, lecz stanowczo. Wybuchła tylko dwa razy, przed pogrzebem i po nim. Od tamtej pory zachowywała się poprawnie, obojętnie i chłodno - z właściwym sobie uporem. Na zadawnione latami żale nie pomagały niekończące się rozmowy z matką, która próbowała złagodzić jej stosunek do ojca. Alex zajęła pozycję surowego sędziego i nie zamierzała z niej rezygnować. Oskarżała Quinna nie tylko o brak zainteresowania, ale i o obojętność po śmierci Douga.

Kiedy dostał tragiczną wiadomość, negocjował akurat kontrakt w Bangkoku. Przyleciał na pogrzeb i odleciał na drugi dzień, żałobę zostawiając jedenastoletniej Alex i Jane. Nic dziwnego, że lgnęły do siebie, dzieląc ból.

Quinna nie było przez cały następny miesiąc, podpisywał bowiem kontrakt na ogromne pieniądze, o którym rozpisywano się na pierwszych stronach „Wall Street Journal”. Wrócił na parę dni, po czym kolejne dwa miesiące spędził kolejno w Londynie, Paryżu, Pekinie, Berlinie, Mediolanie, Nowym Jorku i Waszyngtonie. Alex nie pamiętała ojca z dzieciństwa, bo praktycznie nigdy z nim nie rozmawiała. Nawet gdy bywał w domu, odsuwał się od rodziny, wyczerpany kontaktami biznesowymi, wielogodzinnymi podróżami i ciągłym brakiem snu. A pod koniec życia matki zachował się tak, jak się zachował - oszukał Alex. Quinn nie potrafił zapomnieć jej wykrzyczanych w furii oskarżeń. Zapędziła się tak daleko, że już nie

było odwrotu. Aż do emerytury był właśnie takim człowiekiem, jakiego czarna portret odmalowała słowami. Trudno było przeczyć. Alex nie chciała przyjąć do wiadomości, że od paru lat bardzo się zmienił.

Przez ostatnie półtora roku przed śmiercią Jane rekompensował jej jak umiał utracony czas. Alex tego nie zauważyła. Znamienne, że wyszła za człowieka, który nie wychodził z domu, kiedy już wrócił z biura. Było to tuż po ukończeniu college'u, a jej wybrankiem został rówieśnik, szwajcarski bankier. Oboje wyjechali do Yale i pobrali się tuż po ukończeniu studiów, trzynaście lat temu. Mieli dwóch synów, mieszkali w Genewie, a rodzinne decyzje podejmowała Alex, nie Horst.

Byli niczym papużki nierozłączki i prowadzili życie szczęśliwe, ustabilizowane i bezpieczne, choć nudne jak flaki z olejem. Zwłaszcza zięć wydawał się Quinnowi nudny aż do bólu. Taki był efekt wysiłków Alex, która chciała uniknąć życiowej pułapki, w jaką wpadła jej matka. Dlatego wyszła za mężczyznę pozbawionego osobowości, który we wszystkim różnił się od jej ojca. Horst prawie w ogóle nie podróżował, pracował zaś w banku założonym przez swego dziadka. Był szalenie odpowiedzialnym człowiekiem, uwielbiał żonę i synów. Nie przejawiał nadmiernych ambicji. Alex świadomie wyszła za niego, wiedząc, że nie będzie starał się podporządkować życia rodziny własnej karierze i zainteresowaniom. Quinn nie zauważył zresztą, by Horst się czymkolwiek pasjonował. Po prostu żył, i tego właśnie chciała od niego Alex.

Jej śliczni synkowie, podobni do matki jak dwie krople wody, mieli sześć i dziewięć lat. Quinn ledwo ich znał. Jane często latała w odwiedziny do Genewy, a Alex raz w roku przywoziła dzieci do San Francisco, do babci. Quinn rzadko bywał wtedy w domu, nie towarzyszył żonie do Szwajcarii, zwykle zajęty interesami na drugim końcu świata. Jane wykorzystywała jego wyjazdy i spędzała ten czas z córką. W tym świetle było zrozumiałe, dlaczego Alex miała do niego pretensje i nie zamierzała mu wybaczyć żadnych grzechów, ani tych rzeczywistych, ani urojonych. Uznała, że utraciła nie jedno, ale oboje rodziców, a ojca o wiele wcześniej niż matkę. Śmierć brata pozostawiła w jej sercu niezagojoną ranę. Dlatego była

nadopiekuńczą matką, choć mąż błagał ją, by dała dzieciom trochę swobody. Alex wszystko wiedziała najlepiej. Żeglowania nienawidziła najbardziej na świecie, oczywiście z uwagi na śmierć Douga.

Jane też miała awersję do pływania, choć Quinn był przekonany, że zrozumiałaby i pochwaliła zakup nowej łodzi. Żona pragnęła jego szczęścia, spełnienia marzeń i celów. Alex miała to w nosie. Quinn został sam jak palec. Wysiadł z taksówki przy Vallejo Street, zaułku ocienionym przez drzewa rosnące wokół domu, w którym on i Jane mieszkali od początku małżeństwa i w którym dorastała Alex. Quinn chciał kupić większy dom, ale Jane była przeciwna, bo pokochała właśnie tę rezydencję w angielskim stylu. Quinn też czuł się tu świetnie, wiedząc, że żona na niego czeka. Teraz, gdy otworzył drzwi, powitała go głucha cisza.

Zostawił bagaże w holu, słysząc tykanie zegara w salonie. Jeszcze nigdy nie czuł się tak samotny i wypalony. Nie było kwiatów, zasłony były przykurzone, a ciemna drewniana podłoga w salonie, kiedyś zawsze świeżo wypastowana i błyszcząca, wyglądała jak dno rodzinnego grobowca. Dom wydał mu się ciemny i ponury. Powodowany pierwszym odruchem rozsunał kotary i popatrzył na ogród. Mimo mroźnego październikowego wieczoru drzewa i krzewy wciąż pozostawały zielone, ale nie było już kwiatów.

Mgła, która pojawiła się przy lądowaniu, spowiła całe miasto. Szara barwa nieba pasowała do nastroju Quinna. Wziął bagaż i poszedł na górę. Widok sypialni zrobił na nim porażające wrażenie. Pięć miesięcy temu Jane umarła w jego ramionach w ich małżeńskim łóżku. Odczuł niemal fizyczny ból, patrząc na puste łóżko i na jej uśmiechniętą twarz na fotografii.

Usiadł, a po policzkach zaczęły mu płynąć łzy. Teraz już wiedział, że powrót do domu był błędem, ale co miał zrobić, skoro nie było nikogo do pomocy. Musiał uporządkować sprawy formalne i przygotować dom do sprzedaży planowanej na wiosnę. Trzeba to było zrobić, choćby kosztem największego bólu. Należało odmalować kilka pokoi i wezwać pośrednika, żeby oszacował wartość rezydencji.

Pierwsza noc minęła Quinnowi w ponurym nastroju. Tęsknił za Jane tak bardzo, że nie mógł wytrzymać w sypialni, chciał wybiec w piżamie na ulicę, byle tylko uciec jak najdalej. Jednak ucieczka nic by nie dała, musiał uporać się ze swoimi uczuciami. Nie miał szans na ułaskawienie, a wyrokiem było życie bez Jane. Był skazany na samotność i wiedział, że sobie na to zasłużył. Tej nocy dręczył go sen, który powtarzał się często, zanim wyruszył w rejs.

Jane podchodziła do niego z wyciągniętymi ramionami, jakby chciała go o coś poprosić. Płakała. Z początku nie słyszał, co mówiła, ale i bez tego widok jej zapłakanej twarzy rozdzierał mu serce. Potem docierały słowa, zawsze te same. Błagała go, by jej nie opuszczał, żeby choć raz przy niej został. Za każdym razem we śnie obiecywał, że więcej tego nie zrobi. A potem - w tym momencie sen zmieniał się w koszmar - widział siebie, jak bierze walizkę i wychodzi, a Jane stoi i płacze. Jeszcze długo po przebudzeniu miał w uszach: „Quinn, Quinn, nie opuszczaj mnie... Quinn, błagam cię...”. Jak mógł być do tego zdolny? Dlaczego robił to przez całe życie i to tak często? Dlaczego w ogóle jej nie słuchał, dlaczego wszystko inne było ważniejsze niż Jane?

Ów sen unieważniał wszystkie dawne podróże, stawiał pod znakiem zapytania sens budowania finansowego imperium. Zostawał po nim tylko moralny kac, poczucie winy i wstyd. Nienawidził tego snu, który jak na złość powrócił w San Francisco. Wyzierała z niego życiowa tragedia Jane, która na co dzień była czuła, wyrozumiała i nie zachowywała się tak jak we śnie Quinna. Czuł, że z osobą Jane wiąże go zarówno miłość, jak i poczucie winy. Sen, który dręczył go w domu, był niczym zemsta z za grobu. Cóż, musiał nauczyć się z tym żyć.

Następnego ranka Quinn wziął prysznic, ogolił się, ubrał, wypił kawę i, zawinawszy rękawy, zaczął przeglądać zawartość szaf. Zaczął od parteru, gdzie były zgromadzone pamiątki Alex z dzieciństwa. Jane latami prosiła córkę, by je zabrała, ale bez skutku. Obok medali uzyskanych w konkursach jeździectwa, kilku trofeów z zawodów tenisowych znajdowały się liczne fotografie ze szkolnymi przyjaciółmi, których Quinn nie potrafił rozpoznać. Były też nagrania audio i wideo, stare znisz-

czone lalki, miś i zalakowane pudełko. Quinn podważył pieczęć nożem i znalazł w środku fotografie Douglasa z Alex. Jego dzieci śmiały się i robiły głupie miny. Część zdjęć zrobiono na nartach. Natrafił też na listy Douglasa do Alex z obozu w Maine, pisane tego lata, kiedy się rozdzielili, bo ona wybrała wakacje bliżej domu w Kalifornii. Quinn, wiedziony impulsem, otworzył jedną ze starych, pożółkłych kopert i odczytał datę śmierci Douglasa, który rano, przed wypadkiem, napisał list do siostry. Quinn tak się wzruszył, że łzy pociekły mu po twarzy. Teraz dopiero zrozumiał, co rodzina poczuła po tragicznej śmierci Douglasa, w czym sam z wyboru nie uczestniczył. Kochał syna, choć nigdy nie był z nim blisko. Na dobrą sprawę w ogóle go nie znał.

Doug był ładnym, wesołym, inteligentnym i dobrze wychowanym chłopakiem, ale Quinn odkładał na później nawiązanie z synem przyjaźni. Wyobrażał sobie, że zbliżą się do siebie, kiedy mały stanie się już mężczyzną. Dorastanie syna jakoś mu umknęło, a po śmierci nie miał czasu go żałować. Znow ogarnęło go poczucie winy z powodu zmarnowanej szansy. Każde wspomnienie o nieżyjącym synu było jak policzek. Przypominał sobie, jak nakłaniał Jane, by jak najszybciej pozbyła się rzeczy Douga i opróżniła jego pokój. Nie chciał, by zrobiła z niego kapliczkę. Wylatując do Hongkongu, nalegał, oczywiście dla jej dobra, żeby nie było w domu śladów po zmarłym synu. A Jane, jako dobra żona, posłuchała, żeby mu zrobić przyjemność, choć jeden Bóg wie, ile to ją kosztowało.

Quinn znalazł całą zawartość pokoju Douga po południu, kiedy zabrał się do czyszczenia dużego składu za garażem. Było tam wszystko - ubrania, ekwipunek sportowy, puchary i inne pamiątki. Jane nie wyrzuciła nawet bielizny. Po dwudziestu trzech latach od tragedii znalazł rzeczy należące do Douga. Trzy swetry były upchnięte w szafce Jane, co zauważył, gdy przeniósł się z porządkami na górę. Ta podróż sentymentalna trwała kilka tygodni. I wciąż od nowa musiał zmagać się z bolesnymi wspomnieniami ze swego życia z Jane, które tylko wzmagają stare poczucie winy.

Przyszło i minęło Święto Dziękczynienia. Zgodnie ze zwyczajem zatelefonował z życzeniami do Alex, choć w Genewie nie obchodziła tego amerykańskiego święta. Odpowiedziała krótko i konwencjonalnie, głosem wypranym z ciepła. Quinn nawet nie zdążył spytać o zdrowie Horsta i dzieci. Komunikat córki był jasny: „Odczep się ode mnie. Nie potrzebujemy cię. Odejdź”.

Nie kupił tradycyjnego indyka, bo i tak nie miałby z kim go zjeść. Do nikogo nie zadzwonił. Nie chciało mu się kontaktować z ludźmi, tak bardzo wyczerpywały go domowe porządki i sprawa sprzedaży domu. Kiedyś to Jane załatwiała wszystkie sprawy związane z życiem towarzyskim. To ona utrzymywała kontakty z przyjaciółmi i umawiała się na spotkania, które mogły być dla niego miłym oddechem po wyczerpującej pracy. Na ogół się na nie zgadzał, ale gdyby to od niego zależało, za każdym razem wolałby być sam. Teraz był sam i wiedział, że to się już nigdy nie zmieni. Nie interesował się ani ludźmi, ani otaczającym światem. Ten stan sprawiał, że nieobecność Jane Quinn odczuwał coraz boleśniej, wręcz nie mógł jej znieść.

Za dnia, przeszukując szafy i porządkując skarby żony, dokonywał podsumowania wspólnie spędzonych dni i lat. Nocą, śmiertelnie wyczerpany, siedział w łóżku, czytając dzienniki i wiersze Jane. Niemal stawał się nią, wchodząc głęboko w jej skrywane uczucia, fascynacje i radości. Jane była teraz niezbywalną częścią jego samego, jak nigdy przedtem. Stali się jednością. Nigdy nie był z nią bliżej niż na kilka miesięcy przed śmiercią. A teraz przeżywał to uczucie jeszcze raz, kiedy dotykał nie tylko jej papierów, ale wieczorowych sukni, ogrodniczych kombinezonów, spranych nocnych koszul, bielizny, ulubionych sweterków. Zachował niektóre ubrania, te najbardziej znoszone, najbardziej pamiętane. Nie umiał się ich pozbyć - teraz dopiero rozumiał uczucia Jane, kiedy kazał jej wynieść z domu rzeczy zmarłego syna.

Życie wymierzyło mu karę. Przyjmował ją z pokorą, bo na nią zasłużył.

Mniej więcej w połowie grudnia podjął decyzję, co zostawić, a czego się pozbyć. Rzeczy przeznaczone do oddania zapełniły salon. Było ich za dużo, by mógł wpuścić do domu agenta handlu nieruchomościami. Quinn żył

cotygodniowymi telefonami do Tema Hakкера, którego pytał o postępy prac. Otrzymał list od Boba Ramsaya, który gratulował mu dobrego zakupu i wyrażał zadowolenie, że dokonana transakcja przyspieszy prace nad jego nowym, ogromnym jachtem. Hakker meldował, że wszystko idzie zgodnie z planem. Quinn, mimo iż był zmęczony porządkami, cieszył się, że wszystko to zrobił sam. Dzięki temu pojednał się z Jane, był to sekretny rytuał tylko dla nich dwojga, uzupełniony conocną lekturą słów, pisanych jej ręką. Sen, w którym błagała, by jej nie opuszczał, gnębił go teraz najwyżej dwa razy w tygodniu. Niestety, nie umiał o nim zapomnieć.

Przejrzał tysiące fotografii z początków ich małżeństwa, kiedy dzieci były małe, z podróży i spotkań towarzyskich, a także tych ostatnich, ze wspólnych wojaży z Jane. Przechowywała wszystkie wycinki prasowe, w których o nim wspomiano. Przez blisko czterdzieści lat nazbierały się z tego całe, ułożone chronologicznie segregatory. Niektóre ze starości prawie rozsypywały się w rękach. Wielbiła go, a on odpłacał jej brakiem zainteresowania. Przeglądanie dokumentów uświadamiało mu własne samolubstwo, to, że pogрузzył się w pracy, zaniedbując kochającą żonę, która niezmiennie mu wybaczała i usprawiedliwiała go przed dziećmi. Jane była wspaniałą kobietą.

Quinn, mimo iż nie był religijny, poszedł do kościoła na mszę w pierwszy dzień świąt i zapalił świeczkę w intencji żony. Zrobił to ze względu na jej pamięć; wydawało mu się, że byłaby z tego zadowolona. Jane przez wszystkie minione lata paliła w intencji Douga tysiące świeczek. Robiła tak zawsze, ilekroć coś ją niepokoiło albo miała zrealizować jakiś cel. Quinn dawniej żartował sobie z jej dewocji, ale teraz zrozumiał, co czuła, gdy dla niej zapalił światełko. Ta mała świeczka dodała mu otuchy. Gdy wrócił do domu, poczuł, że stopniowo uwalnia się od koszmarów. Uporządkował rzeczy, zamierzał oddać je potrzebującym. Te zachowane na pamiątkę zgromadził w garażu. Planował przewieźć je do wynajętej przechowalni, wraz z meblami, których postanowił się nie pozbywać. Zgromadzili z Jane trochę antyków, które chciał zostawić Alex. Sądził, że już nie będzie miał

domu, gdzie te meble znów mogłyby stać. Zamierzał przecież spędzić resztę życia na łodzi.

Po miesiącu zmagania z domem Quinn pofolgował sobie wreszcie w noc Bożego Narodzenia. Wypił butelkę dobrego wina, które znalazł w piwnicy, poprawił dwoma dużymi koniakami i poszedł do łóżka. Następnego dnia miał kaca, ale czuł się psychicznie znacznie lepiej. Koniec urlopu. Ostatni dzień grudnia spędził przy biurku, przygotowując papiery dla adwokata, który miał zająć się jego sprawami tuż po Nowym Roku. Padał ulewny deszcz i rozpętała się wichura; słuchał tych odgłosów, zajęty pracą. Dopiero o północy wstał i wyrztał przez okno, zdziwiony siłą wiatru, który przyginał młode drzewa aż do ziemi. Nie zadał sobie trudu, by włączyć telewizor, ale gdyby to zrobił, usłyszałby, że właśnie w północnej Kalifornii szaleje najgorszy huragan od stuleci, że zerwał linie wysokiego napięcia w okręgu Marin oraz wzdłuż East i South Bay.

Z głębokiego snu obudził Quinna huk, po którym nastąpiły dwa trzaski. Poderwał się i wyrztał na dwór. Właśnie waliło się największe i najstarsze drzewo w jego ogrodzie. Wypadł w piżamie na trawnik, patrząc z niedowierzaniem na to, co się dzieje, gdy omal nie spadł mu na głowę kawał dachu. Gdy wbiegł z powrotem do salonu, przez wyrwaną w dachu dziurę lunął deszcz. Nie miał czym zatkać dziury. Wszystko, co mógł zrobić, to poprzesuwać meble. Inne drzewa w ogrodzie gięły się od wichru, ale żadne się nie złamało. Dom też nie ucierpiał, poza tą jedną wyrwą w dachu.

Quinn nie zasnął do rana. Ulewa trwała. O świcie włożył kalosze i pelerynę, po czym obszedł dom, by ogarnąć skalę zniszczenia. Dziura w dachu był paskudna, poodpadały dachówki, a w dwóch oknach na strychu potrzaskały szyby. Garaż też mocno ucierpiał i został podtopiony. Szczęściem w nieszczęściu Quinn poukładał pudła na wysokich drewnianych stołach, więc papiery i zdjęcia nie ucierpiały. Przez cały ranek przenosił je do kuchni. Salon został kompletnie zdewastowany. Dywany i meble usunął już wcześniej, a teraz próbował zatamować wodę ręcznikami. Przez dziurę w dachu przechyliły się gałęzie najbliższego rosnącego drzewa i część boazerii



była nie do odratowania. Z gazety Quinn dowiedział się, że w nocy z powodu burzy straciło życie co najmniej dwanaście osób, a setki rannych wylądowały w szpitalach. Tysiące ludzi straciło dach nad głową i przebywało teraz w szkołach zaadaptowanych na czasowe schroniska. Huragan poczynił niewyobrażalne spustoszenia.

Przenosząc pudła z garażu do kuchni, zobaczył połamane drzewa w sąsiednim ogrodzie. Poważnie uszkodziły dom. Drobną ciemnowłosa kobieta podniosła załzawione oczy na Quinna, gdy mijał ogrodzenie.

- Moje drzewo wybiło dziurę w dachu o czwartej nad ranem - powiedział. - Słyszałem jeszcze dwa głośnie trzaski, to pewnie były pani drzewa - dodał, a kobieta potwierdziła to skinieniem głowy. - Duże zniszczenia?

- Jeszcze nie wiem, ale źle to wygląda. Dach przecieka, a w kuchni mam wodospad jak Niagara - odparła.

Wyglądała na zmęczoną i przestraszoną. Quinn nie miał pojęcia, jak się nazywa; kupiła dom tuż po śmierci Jane, kiedy on wyruszył w rejs. Nie interesował się wtedy sąsiadami, choć teraz współczuł nieznannej kobiecie. Wyglądało na to, że jest sama, co przywiodło mu na myśl Jane, która też przez całe życie musiała radzić sobie z trudnościami na własną rękę. Przypuszczał, że mąż tej kobiety postępuje tak, jak kiedyś on postępował, skoro nawet w pierwszy dzień nowego roku nie było go w domu. Quinn spędził pół życia w pokojach hotelowych i rzadko spędzał sylwestra z żoną.

- Mam kilka wiader, gdyby pani potrzebowała - zaofiarował się. Trudno było liczyć na to, że w pierwszy dzień nowego roku znajdzie się w spustoszonej okolicy gotowa do roboty brygada remontowa.

- Potrzebuję kogoś do naprawy dachu. Wprowadziłam się w sierpniu i zapewniano mnie, że jest solidny. Chyba wyślę pośrednikowi zdjęcie kuchni, która teraz jest kabiną prysznicową.

Na skutek burzy popękały szyby w jej domu. Był gorzej osłonięty niż dom Quinna i znacznie mniej solidny. W ciągu ostatnich lat kilkakrotnie zmieniał

właścicieli i Quinn nie kontrolował, kto tam mieszka, choć Jane próbowała zaprzyjaźnić się z nowymi sąsiadami. Ani kobiety, ani jej męża nie widział przedtem ani razu. Usiłowała uprzętać gałęzie, ale szło jej to niesporo. Przeszkadzał wiatr i deszcz, choć nie tak ulewny jak w środku nocy. Krajobraz przypominał Quinnowi widoki z Karaibów czy Indii, pustoszone przez tajfuny. Czegoś takiego nie pamiętali najstarsi mieszkańcy San Francisco.

- Będę dzwonił do straży pożarnej, żeby zabezpieczyli mój dach papą. Może zgłosić także pani dom? - zapytał.

Z wdzięcznością skinęła głową, wyczerpana do granic możliwości. Cała ulica wyglądała fatalnie, w sąsiednich posesjach właściciele usiłowali zaprowadzić porządek, co było trudne, bo deszcz wciąż lał.

- Nie wiem, czy papa pomoże - odezwała się zniechęconym głosem kobieta. Najwyraźniej nie miała dotąd do czynienia z równie trudną sytuacją. Podobnie jak Quinn, który był pewien, że Jane poradziłaby sobie znacznie lepiej. Jednak nie miał wyboru.

- Powiedz nam, co robić. Zamówię większą ilość papy tak na wszelki wypadek - powiedział, zdając sobie sprawę, że nawet się sobie nie przedstawili. - Przepraszam. Nazywam się Quinn Thompson.

- Maggie Dartman - odparła, ściskając mocno jego wyciągniętą rękę.

Miała zadziwiająco silny uścisk jak na tak drobną kobietę o małych dłoniach. Długie, ciemne włosy spływały na plecy, ujęte w luźny warkocz, na czole zlepione kroplami deszczu. Miała na sobie dżinsy i przemoczoną kurtkę. Zrobiło mu się jej żal. Z bladej twarzy wзираły zielone smutne oczy. Nic dziwnego, zniszczenia nie mogły cieszyć.

- Szkoda, że pani mąż jest poza domem - zauważył, zakładając, że musi być mąż.

Maggie mogła mieć trzydzieści kilka lat, nie widać było dzieci, więc może jeszcze nie założyła rodziny, pomyślał Quinn. W dzisiejszych czasach ludzie znacznie później niż kiedyś osiągnęli stabilizację. Popatrzyła na niego, gdy

wspomniał o mężu, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Po chwili Quinn już dzwonił do straży pożarnej. Poinformowano go, że napływają setki zgłoszeń, ale obiecali przyjechać za godzinę lub dwie i zabezpieczyć dach. Wspomniał o domu sąsiadki. Gdy wynosił ostatnie pudło z garażu, znów się na nią natknął.

- Dziękuję - powiedziała.

Wyglądała jak zmokła kura i dałby jej chętnie zapasowy płaszcz od deszczu, który Jane chciała oddać do Armii Zbawienia, ale nie zrobił tego. Nie zamierzał zaprzyjaźniać się z obcą osobą. Wyglądała miło, ale nie była wylewna, zresztą zaraz znikła za progiem domu. Wydawało mu się, że płacze. Przyszło mu na myśl, ile to razy Jane musiała tłumić łzy, zostawiona przez niego, zdana jedynie na siebie. Wracał do domu z głębokim poczuciem winy.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Gdy brygada strażaków dokonała prowizorycznej naprawy dachu, Quinn, zgodnie z obietnicą, skierował ich do sąsiadki. Wieczorem burza przycichła, ale straty były ogromne. W poniedziałek rano Quinn zadzwonił do przedsiębiorcy budowlanego i do dekarza, których numery, zanotowane przez Jane, znalazł w kuchni. Dekarz zaśmiał się niewesoło.

- Jest pan dzisiaj moim czterdziestym ósmym klientem - powiedział zmęczonym głosem. - Może w sierpniu będę wolniejszy.

- Żartuje pan - odparł Quinn.

Z jego punktu widzenia sytuacja nie była zabawna. Nie umiał sobie radzić w takiej sytuacji. Wszystkie kłopoty związane z domem spadały na Jane. Teraz sam musiał stawić im czoło, co mu nie odpowiadało. W dodatku do obu rzemieślników wykrczał numer kilkanaście razy z rzędu, nim się dodzwonił, bo całe miasto w tym samym czasie wpadło na ten pomysł.

- Chciałbym - powiedział mężczyzna - ale naprawdę nie damy rady.

Dał Quinnowi namiary na renomowane firmy dekarские; to samo zrobił budowlaniec. Quinn zapisał numery dwóch dużych firm remontowych i telefon młodego stolarza, który pracował na własną rękę i był znany z solidności. Jak było do przewidzenia, firmy były zawałone zamówieniami. Quinn był wykończony, zwłaszcza że ciągle jeszcze nie udało mu się zatrudnić dekarza. Zadzwoił więc do stolarza.

Odezwała się automatyczna sekretarka, więc nagrał się, opisując skalę szkód. Potem, w kolejnej firmie dekarskiej, zdołał namówić specjalistę, by przyszedł następnego dnia rano na oględziny. Fachowiec od razu go ostrzegł, żeby liczył się z miesięcznym albo jeszcze dłuższym terminem wykonania. Wyglądało na to, że Quinn będzie musiał nauczyć się mieszkać z załataną papą dziurą w salonie prawie na stałe. Nie tak sobie wyobrażał ostatnie miesiące w San Francisco.

Stolarz oddzwonił około ósmej wieczorem. Był konkretny i rzeczowy, przeprosił za późną porę, ale przez cały dzień oglądał skutki huraganu. Quinn ucieszył się, że może wpaść o siódmej rano następnego dnia, po drodze do przyjaciół, którym wyrwało okna, a mają małe dziecko.

- Ma pan już jakąś dużą robotę? - spytał Quinn.

Przez cały dzień wysłuchiwał, że poszkodowani muszą czekać na naprawy od trzech do sześciu miesięcy, i uznał, że sytuacja jest beznadziejna.

- Jeszcze nie. Byłem u około dziesięciu potencjalnych klientów, ale z nikim nie podpisałem kontraktu. Nie podejmuję się prac, których nie mógłbym sam ogarnąć. Wielu ludzi woli wiązać się z dużymi firmami, bo liczą, że większa brygada będzie działać szybciej. Ja mam tylko trzech pomocników i angażuję ich w ostateczności, bo wolę pracować sam. W ten sposób mam oko na wszystko, a i koszty dla inwestora są niższe. To prawda, że praca idzie wolniej, ale to nieduża różnica. Przynajmniej nie muszę naprawiać cudzego partactwa. Widzimy się jutro rano, panie Thompson?

- Oczywiście, czekam na pana - odparł z ulgą Quinn.

Gdyby było trzeba, umówiłby się ze stolarzem i o piątej rano. Podobał mu się sposób, w jaki prowadził rozmowę. Stolarz wydawał się człowiekiem bezpośrednim, uczciwym i odpowiedzialnym. Nazywał się Jack Adams. Na koniec Quinn zwierzył mu się, że ma problem ze znalezieniem dekarza.

- Znam jednego gościa z San Jose. Zadzwoń do niego jeszcze dziś i spytam, jak stoi z czasem. Może mógłby przyjechać do pana na parę tygodni. Jutro powiem co i jak.

- Doskonale - Quinn podziękował i odłożył słuchawkę.

Byłby zachwycony, gdyby mógł powierzyć wszystkie prace jednemu zaufanemu specjalście. Pojawiła się możliwość w miarę szybkiej sprzedaży domu, oczywiście po doprowadzeniu go do porządku. Quinn położył się w sypialni i po raz pierwszy nie czytał przed snem dzienników Jane. Myślał o domu, o koniecznych reperacjach, mając nadzieję, że Jack Adams okaże się człowiekiem, na jakiego liczył. Szybko zapadł w sen i spał jak kamień.

Obudził się o szóstej, wypoczęty. Włożył dzinsy, gruby sweter i sznurowane buty, po czym zszedł do kuchni, żeby zrobić kawę. Pił właśnie drugą filiżankę, gdy punktualnie co do minuty o siódmej zadzwonił do drzwi Jack Adams. Był schludnie ubrany, kompetentny i dobrze zorganizowany. Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy i przyjaźnie patrzące niebieskie oczy. Już podczas rozmowy telefonicznej nawiązała się między nimi nieuchwytna więź sympatii. Zaproszony na kawę odmówił, tak mu się spieszyło do oględzin domu. Poinformował Quinna, jakich prac może się podjąć. Quinn pokazał mu dom od salonu po garaż i wspólnie sprawdzali, co się złamało, uszkodziło lub obluzowało. Adams wszystkie detale zapamiętywał z fotograficzną dokładnością. Jeśli w pracy był równie sprawny jak w myśleniu, to Quinn nie mógł trafić na lepszego człowieka.

Przystojny Jack Adams mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. Ze wzrostu i szczupłej figury był podobny do Quinna. Gdy chodzili po domu, wyglądali jak ojciec i syn, choć żaden nie zdawał sobie sprawy z fizycznego podobieństwa. Siwiejące teraz włosy Quinna w młodości były równie ciemne jak włosy Jacka;

jeden przypominał drugiego nie tylko sylwetką, ale sposobem poruszania się, gestami i minami. Gdyby żył Douglas, byłby teraz prawie dokładnie w wieku Jacka. Miałby trzydzieści sześć lat i wyglądałby właśnie tak, gdyby dane mu było stać się mężczyzną. Tego Quinn nie mógł wiedzieć ani nawet o tym pomyśleć, bo Doug wrósł w jego pamięć jako trzynastolatek i takim pozostał.

- Jak pan myśli, ile czasu zajęłaby panu ta robota? - spytał Quinn, gdy po skończonych oględzinach wracali do domu.

Tym razem Jack nie odmówił kawy. Powiedział, że nie przypuszczał, iż zniszczenia są tak duże, ale Quinn namówił go do całościowych robót, by po remoncie mógł sprzedać dom. Adams dostał sporo drobnych zleceń, ale pociągała go poważna robota, a zamówienie Quinna było prawdziwym wyzwaniem. Jego przyjaciel z San Jose zgodził się zacząć za dwa dni naprawę dachu, co było dla Quinna zbawienną wiadomością. Jack dawał swym klientom pewność, że ich sprawy są w dobrych rękach. Zarówno jego opanowanie, jak i oczywista znajomość rzeczy sprawiły, że Quinn chciał go wynająć tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Chce pan, żebym zrobił tu wszystko? - Jack zmrużył oczy i upił łyk parującej kawy, którą podał mu Quinn. - To zajmie trzy miesiące, zresztą może tylko dwa, zależnie od tego, ilu wynajmę pomocników. Będę potrzebował co najmniej dwóch na stałe, przynajmniej na początku. Całość wykończę sam. Zresztą dużo zależy od tego, na co pan się zdecyduje, żeby korzystnie sprzedać dom. Na początku przez dwa miesiące byłoby więc trzech ludzi, a podczas ostatniego miesiąca tylko ja albo ja z jednym pomocnikiem. Co pan na to?

- W porządku. Czy zechce pan także nadzorować naprawę dachu? - Quinn wolałby nie brać na siebie obowiązku pilnowania, a Jack chętnie na to przystał. Znał się na rzeczy, podobnie jak na kierowaniu ludźmi.

- Zajmę się wszystkim, panie Thompson. Na tym polega mój zawód. Pan tylko będzie podpisywał rachunki. Będzie pan z nas zadowolony. - Jack był bystry i umiał się dobrze sprzedawać, co budziło szacunek klientów, nie wyłączając Quinna. Potrzebował tego człowieka, bo znalazł się pod ścianą.

Jack zaś polubił go od pierwszego wejrzenia, ponieważ wyczuł, że na pewno będzie uczciwym kontrahentem. Widać było, że to dużej klasy biznesmen, przyzwyczajony do wydawania poleceń, który nie lubi wdawać się w zbędne szczegóły. Dla Jacka był to wymarzony pracodawca. Zastanawiał się tylko, gdzie jest pani domu, z której zdaniem też będzie musiał się liczyć. Na ścianach wisiało mnóstwo zdjęć ładnej pani w średnim wieku, ale Quinn ani razu nie wspomniał o żonie. Od początku sam załatwiał sprawę, widocznie tak wolał. Cokolwiek w tym było, Jack nie zamierzał zadawać osobistych pytań, co Quinn także w nim cenił. Ubili interes i tak miało pozostać.

- Kiedy pan może oszacować zamówienie? - rzeczowo spytał Quinn.

Gdyby musiał wynająć firmę, naprawa domu kosztowałaby fortunę.

Tymczasem trafił na młodego, niezależnego fachowca, który sam zaproponował obniżkę kosztów. Quinn spodziewał się, że łatwo się dogadają. Jackowi zależało na tej robocie, a także na dobrym pracodawcy.

- Kosztorys dostanie pan późnym popołudniem - odparł Jack, odstawiając kubek i spoglądając na zegarek. Chciał jak najszybciej zreperować okna u przyjaciela i wziąć się do nowej roboty. - Podrzuciłbym go pod wieczór, jeśli to panu nie przeszkadza. Mam przyjaciółkę, która robi za mnie papierkową robotę. Przedykuję jej dane, ona wszystko policzy, a ja to panu przekażę, kiedy uporam się z dzisiejszą naprawą, zgoda?

- Znakomicie. Może zresztą bezpośrednio przefaksować kosztorys tutaj, jeśli panu to coś ułatwi. - Jack schował do kieszeni notatkę z numerem faksu i wyciągnął dłoń.

- Sądzę, że się dogadamy, panie Thompson.

- I ja tak sądzę - powiedział Quinn z uśmiechem.

Podobał mu się ten chłopak, jego obejście i sposób, w jaki podchodził do czekającego go zadania. Po burzy, która zdewastowała San Francisco, Jack Adams spadł mu z nieba.

Z uczuciem ulgi Quinn wykręcił numer Tema Hakkera w Holandii, żeby sprawdzić, jak postępują prace nad jachtem. I ni z tego, ni z owego zaczął się zastanawiać, czy jego nowy pracownik wie cokolwiek o łodziach i czy umie żeglować.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Jack Adams pojawił się następnego dnia, tak jak obiecał, i natychmiast zabrał się do pracy. Poprzedniego dnia przesłał faksem przyzwoity, niewygórowany kosztorys. Interes został ubity, kontrakt podpisany. Jack przywiózł ze sobą dwóch młodych osiłków. Trzymali się razem, niewiele mówili i zaraz wzięli się do roboty. Kiwnęli głowami na powitanie, ale widać było, że słuchają tylko Jacka i że to on jest tutaj szefem. Dekarz pojawił się pod koniec tygodnia. Połamane drzewo zrobiło więcej złego, niż wydawało się na pierwszy rzut oka, więc trzeba było zweryfikować zamówienie.

Robota była ogromna, ale Quinn i tak nie miał wyboru. Dach musiał zostać naprawiony i Quinn nie zamierzał się wycofywać. Sprzedaż domu była sprawą pierwszej wagi, niezależnie od tego, ile miało go to kosztować. Jack podziwiał Quinna za zdecydowanie; już od pierwszych dni cenił jego stanowczość i wiedział, że może oczekiwać uczciwości za uczciwość. Nie cierpiał ludzi, którzy co innego myślą, a co innego robią, mydląc przy tym oczy innym. Z Quinnem sprawy wyglądały zupełnie inaczej - profesjonalizm Jacka był impulsem do działania.

Pod koniec drugiego tygodnia pracy, kiedy już byli dobrze zaznajomieni, Jack zastał Quinna przy biurku, pochylonego nad jakimiś projektami.

- Nowy dom? - spytał z grzeczności Jack.

Zwykle nie wtrącał się w sprawy swoich klientów, ale Quinn był tak zaabsorbowany planami, że Jack nie mógł powściągnąć ciekawości. Quinn zareagował przychylnie, choć był zmordowany. Cały tydzień spędził nad



dokumentami dotyczącymi osobistego majątku Jane. Nagrodą było studiowanie planów nowo budowanego jachtu.

- To nie dom, Jack. To łódź. Czy wiesz coś na temat budowy łodzi?

- Ani trochę. Oglądałem wiele łodzi i obserwowałem regaty w zatoce. Nigdy nie postawiłem nogi na pokładzie jachtu.

- Dużo straciłeś. - Quinn przekreślił plany tak, by Jack mógł je obejrzeć.

Wiedział, że spodoba mu się precyzja, z jaką zostały wykonane, bo był człowiekiem metodycznym. - Będzie gotów na jesieni. Zamierzam na nim zamieszkać, jak tylko uda mi się sprzedać dom.

- Dokąd popłyniesz? - spytał Jack.

Nie zapytał o plany, tylko podziwiał je w milczeniu.

- Wszędzie. Na południowy Pacyfik. Do Arktyki, do Ameryki Południowej. Do Europy, Skandynawii, Afryki. Taką łodzią można opłynąć cały świat. Kupiłem ją w listopadzie, tuż przed powrotem z Europy.

- Musi być piękna - powiedział Jack w zadumie, ale bez zazdrości.

Szanował i podziwiał Quinna. Uważał, że temu mężczyźnie należy się od życia to, czego zapragnie.

- Jeszcze nie jest, ale będzie po wykończeniu.

- A gdzie teraz jest? - Quinna zdziwiło pytanie Jacka, bo przecież nazwa stoczni była wypisana wielkimi literami.

Jack jednak najwyraźniej tego nie zauważył, zajęty szczegółami projektu. Quinn kochał swoją łódź bez granic i sądził, że wszyscy powinni podzielać jego zachwyt.

- W Holandii.

- Często ją oglądasz? - Dla Jacka wszystko, co wiązało się z osobą Quinna, było synonimem stylu, elegancji i mocy pieniądza. Był dla niego bohaterem nowych czasów.

- Zacznę tam latać, kiedy jacht będzie na ukończeniu. Chcę dopilnować detali.

- A kiedy wystawisz dom na sprzedaż? - Rozmawiali już o tym wcześniej, ale Quinn nie udzielił konkretnej odpowiedzi. Teraz jednak, kiedy Jack zobaczył plany łodzi, wiedział, że to nie mrzonki, tylko gotowy plan.

- Zajmę się tym, kiedy tylko skończycie, najpóźniej na wiosnę. Na pewno sprzedaż potrwa co najmniej kilka miesięcy. Chciałbym się stąd wynieść do końca września, najdalej w październiku, kiedy łódź będzie gotowa do wodowania.

- Chciałbym ją zobaczyć. Może tu na niej przyplynieś - powiedział Jack. Akurat tego Quinn nie mógł i nie chciał obiecywać.

Zamierzał uciec jak najdalej od męczących wspomnień i od świata, który kiedyś dzielił z Jane. Pragnął się tylko oddalić, zabierając najlepsze, wybrane wspomnienia. Pozostawanie w mieście, które było świadkiem ich blisko czterdziestu wspólnych lat, to było zdecydowanie za wiele. Męczyła go bezsenność. Lunatykował w nocy po domu, zadreęczając się bolesnym rozpamiętywaniem. Musiał się oderwać, a rejs był na to najlepszym lekarstwem.

Jack wiedział już, że żona Quinna umarła i że ma on dorosłą córkę, która mieszka w Genewie. Quinn powiedział mu o tym na początku zeszłego tygodnia, a Jack dyskretnie wyraził współczucie. Teraz przynajmniej w części rozumiał samotność tego człowieka.

- Może kiedyś polecisz ze mną do Europy - zaproponował Quinn.

Jack tylko roześmiał się w odpowiedzi. Podróż do Europy wydawała mu się równie fantastycznym pomysłem jak lot na Marsa.

- Mam tu tyle roboty, że to raczej nie wchodzi w grę - odparł i dodał z szacunkiem: - Ale jestem pewien, że to wyjątkowa łódź.

Quinn podszedł do regału, w którym trzymał książki o żeglarstwie. Niektóre były bardzo stare, inne nowe. Wyjął gruby tom i wręczył go Jackowi. Był to podręcznik, który Quinn traktował jak biblię jachtingu przez pierwsze lata pływania.

- To ci da pojęcie o łódkach, Jack - oznajmił. - Może kiedyś spróbujesz, jak będziesz miał trochę wolnego.

Jack zawahał się, biorąc książkę. Wyglądała na często używaną przez właściciela.

- Boję się, że ją zniszczę albo zgubię - powiedział, nie bardzo mając ochotę ją pożyczać.

- Na pewno nie. Rzuć okiem na to, co cię interesuje, a oddasz, kiedy będziesz chciał. Kto wie, może jeden z przyjaciół zaproponuje ci rejs. Ta książka odpowie ci na każde pytanie. - Jack wziął tom i Przekartkował go wolno, przelatując głównie przez zdjęcia i wykresy. Diagramy i terminy wyodrębnione były tłustym drukiem. Był to znakomity podręcznik, ukochana książka Quinna. Dał ją Dougowi tego lata, kiedy chłopiec wyjechał na feralny obóz. Doug, żeby sprawić przyjemność ojcu, przegryzł się przez podręcznik i wyuczył najważniejszych terminów. Ich ostatnie rozmowy o żeglarstwie były najprzyjemniejszymi wspomnieniami związanymi ze zmarłym synem.

- Na pewno chcesz mi to pożyczyć? - spytał Jack z poważną miną.

Quinn przytaknął z uśmiechem i po chwili Jack wyszedł z pokoju z książką pod pachą. I choć był to piątkowy wieczór, zapowiedział, że zjawi się rano. Pomocnicy pracowali dla niego tylko pięć dni w tygodniu, ale on gotów był poświęcać część weekendu, byle szybciej skończyć robotę, i to bez premii. Lubił pracować w pojedynkę, samemu o wszystkim decydować. Był znacznie solidniejszy, niż Quinn mógłby przypuszczać. Nadzorował też, jak obiecał, naprawę dachu i Quinn był bardzo zadowolony z efektów, choć końca jeszcze nie było widać. Jack miał spędzić tu jeszcze parę miesięcy, nim dom będzie wyszykowany tak, żeby móc go wystawić na przetarg.

W deszczowy sobotni poranek Quinn wyjrzał przez okno i zobaczył Jacka, który nie zwracał najmniejszej uwagi na ulewę. Lało od miesiąca. Jackowi to nie przeszkadzało, bo poszczególne elementy stolarki szykował partiami, tyle tylko że nie można było przykryć dachu w deszczowy dzień. Niesprzyjająca aura przedłużała prace, ale i tak wiele rzeczy można było przygotować na później.

Po kawie i lekturze gazety Quinn poszedł pogadać z Jackiem. Znalazł go w garażu. Gdy wychodzili stamtąd pół godziny później, Quinn zauważył sąsiadkę zmagającą się z ciężką drewnianą skrzynią, którą był zastawiony wjazd do domu. I teraz, tak jak po huraganie, musiała się z tym uporać sama. Od razu pomyślał o Jane. Ona też zmagала się z życiem sama jak palec, bo zostawiał na jej głowie wszystkie codzienne kłopoty. Widok tej obcej, samotnej i słabej kobiety był jak wyrzut sumienia, przypominający mu o wielu latach samolubstwa i obojętności.

Jack precyzyjnie przeszedł przez żywopłot dzielący oba ogrody i pomógł sąsiadce. Wyjął narzędzia z jej rąk i w ciągu dwóch minut otworzył skrzynię, do której załadowano jakiś mebel. Weszli razem do domu i po paru minutach Jack pojawił się z powrotem. Ostrożnie zagał rozmowę.

- Nie wiem, co byś na to powiedział, Quinn - po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu - ale ta kobieta poprosiła, żebym pomógł jej w paru naprawach. Powiedziałem, że zawarłem z tobą stałą długoterminową umowę, a ona zaproponowała, bym poświęcał jej po parę godzin w niedziele, kiedy mam wolne. Zgodziłem się, bo to mój czas i mogę z nim robić, co zechcę. Wydaje mi się, że nie ma żadnego faceta pod ręką.

- O mojej żonie musieli mówić to samo. - Quinn westchnął. - Zwolnij tempo, nie możesz przecież harować siedem dni w tygodniu - powiedział z troską. Oczywiście nie podobała mu się perspektywa dzielenia Jacka z nową klientką. Pracował bez wytchnienia, nawet w soboty, i przynajmniej w niedziele należał mu się odpoczynek.

- Dam sobie radę - odparł Jack z miłym uśmiechem. - Żał mi jej. Wczoraj listonosz mi powiedział, że w ubiegłym roku straciła syna. Potrzebuje pomocy.

Quinn kiwnął głową. To były argumenty nie do odrzucenia. Sprawę syna przemilczał. Nie opowiadał dotąd Jackowi o śmierci Douga. Nie było powodu, a poza tym nie chciał wprowadzać atmosfery melodramatu. Wystarczyło, że poinformował go o śmierci Jane. Zachował dla siebie konstatację, że śmierć dzieci połączyła go tajemną więzią z sąsiadką.

- Dobrze. Nie dopuść, żeby cię wykończyła - ostrzegł Jacka, który tylko pokręcił głową.

Chciał pomóc tej kobiecie z własnej woli. Nie zmuszała go do niczego. Znalazła dekarza i poradziła sobie z naprawą dachu. Było też parę drobniejszych szkód, które wymagały ręki stolarza. Obserwując dom Quinna, przekonała się, jak świetnym fachowcem jest Jack.

- To miła osoba. Czasem trzeba ludziom pomagać, choćby kosztem własnego czasu. Poza tym nie mam innych rozrywek, jeśli nie liczyć rozgrywek piłkarskich w telewizji.

Quinn nie miał nawet takich pomysłów na spędzanie wolnego czasu, ale nie powiedział. W niedzielę zobaczył Jacka u Maggie Dartman. Wychodząc z domu, zatrzymała się przy furtce i podziękowała Quinnowi, że pozwolił jej zatrudnić swojego stolarza.

- To świetny fachowiec - zapewnił ją Quinn, nie chcąc wdawać się w dłuższą rozmowę.

To, co Jack robił w wolnym czasie, było jego sprawą. Zresztą wczesnym popołudniem furgonetka Jacka zniknęła z podjazdu. Rzetelnie wywiązywał się z ich umowy.

Pod koniec kolejnego weekendu Quinn przypomniał sobie o książce o żeglarstwie i spytał Jacka, czy miał czas do niej zajrzeć. Jack zrobił zakłopotaną minę i przecząco potrząsnął głową.

- No jasne, skoro spędzasz u mnie sześć dni w tygodniu, a niedziele u sąsiadki - zażartował Quinn, ale Jack szybko zmienił temat.

Quinn zorientował się, że stolarz czuje się winny, ale nie chciał go za bardzo naciskać. I tak miał mnóstwo zajęć. Mimo to Quinn wyczuwał w Jacku urodzonego żeglarza. Projekt jachtu oglądał z fascynacją. Quinn mógłby go sam nauczyć praktyki. Miał nadzieję, że książka wciągnie Jacka, ale już więcej o niej nie wspominał.

Pod koniec stycznia, kiedy roboty były w bardzo zaawansowanym stadium, Quinn spędził całe popołudnie na opracowaniu planu dalszych prac stolarskich. Wyszedł z domu, żeby wręczyć Jackowi listę. Był to pierwszy słoneczny dzień i dach wydawał się bliski ukończenia, choć roboty trochę się przeciągnęły. Miał nadzieję, że Jack od razu odniesie się do jego propozycji, ale stolarz wsadził kartkę do kieszeni, obiecując, że przeczyta wykaz wieczorem. Trochę to oburzyło Quinna, ale nie miał wyboru, skoro Jack nie chciał omawiać sprawy.

Wieczorem, kiedy zaplanowane roboty były już skończone z sukcesem, a Quinn z niepokojem czekał na samotny weekend, zaprosił Jacka na wino. Chciał skorzystać z okazji i wrócić do wyszczególnionych w wykazie spraw remontowych, ale Jack znów wymigał się od rozmowy. Quinnowi zdawało się nawet, że w oczach stolarza zobaczył łzy i zastanawiał się, czym go uraził. Jack był niesłychanie prostolinijnym człowiekiem i nawet gdy Quinn zgłaszał jakieś pretensje, przyjmował je otwarcie. Teraz zachodziła obawa, że zerwie kontrakt, bo najwyraźniej niepokoiło go coś, czego Quinn zupełnie nie był świadom.

- Przepraszam cię, Jack - powiedział łagodnie, chcąc rozładować napięcie. - Nie chcę cię naciskać. Jest koniec tygodnia, na pewno jesteś zmordowany. Nie przychodź do mnie w sobotę, odpocznij.

Jack potrząsnął głową. Teraz Quinn był pewien, że widzi łzy w jego oczach. Jack popatrzył na niego z głębokim smutkiem i zaufaniem, ale Quinn nie zrozumiał wymowy tego spojrzenia. Wiedział tylko, że coś jest nie w porządku. Jack cierpiał i trzeba to było wyjaśnić. I choć Quinn nie był na to gotowy, Jack usiadł z nim przy stole nad kieliszkiem wina. Popatrzył wprost w oczy człowiekowi, który wynajął go do pracy, i zaczął opowiadać o sobie głosem nabrzmiałym emocją. Quinn wiedział, że to wóz albo przewóz. Musiał wysłuchać Jacka.

- Rodzice oddali mnie do sierocińca, kiedy miałem cztery lata. Pamiętam matkę, chociaż nie pamiętam ojca poza tym, że się go bałem. Wiem też, że miałem brata, ale zupełnie go sobie nie przypominam. Nigdy po mnie nie wrócili. Jestem wychowany przez państwo, tak mi powiedzieli. Z początku, jak byłem mały,

próbowali umieszczać mnie w rodzinach zastępczych, ale stale mnie odsyłano. Nie nadawałem się do adopcji, bo miałem żyjących rodziców, a w rodzinach zastępczych też nie zostaje się na zawsze. W sierocińcu było mi dobrze. Ja też się dobrze sprawowałem. Pracowałem najlepiej, jak umiałem. Stolarką zająłem się, gdy skończyłem siedem lat. Jak miałem dziesięć, umiałem już wszystko. Pozwalali mi robić to, na co miałem ochotę. Nienawidziłem szkoły. Szybko zrozumiałem, że skoro jestem z sierocińca, to mogę zawalać klasy, i oni mi na to pozwalali. Kiedy miałem dwanaście lat, właściwie przestałem chodzić do szkoły. Odbębniłem ten obowiązek do piętnastego roku życia. Wiedziałem już, że mogę się utrzymać jako rzemieślnik. Spróbowałem zrobić dyplom. W egzaminach pomogła mi koleżanka. Dostałem dyplom, opuściłem sierociniec i zapomniałem o wszystkim. W Wisconsin zarobiłem parę groszy. Złapałem autobus i wylądowałem tutaj. Od tej pory nie pamiętam dnia bez ciężkiej pracy. To było dwadzieścia lat temu. Teraz mam trzydzieści pięć lat i dobrze zarabiam. Ciężko pracuję, ale lubię swoją pracę. Lubię pomagać ludziom i cenię takich pracodawców jak ty. W ciągu dwudziestu lat nie spotkałem nikogo, u kogo by mi się tak dobrze pracowało. - Głos mu się załamał i Quinn wzruszył się tym, choć nadal nie rozumiał, po co o tym Jack mówi. - Jestem cieślą, Quinn, jestem dobrym stolarzem. I tyle tego. Nikim innym w życiu nie będę, bo tylko to potrafię.

- Nie mam do ciebie pretensji, Jack - łagodnym tonem powiedział Quinn. - Szanuję twoją pracę. Sam bym tego lepiej nie zrobił. Masz talent i doskonały gust.

- Może tak, może nie - rzekł smutnym głosem Jack. - Robisz tysiące rzeczy, których ja nie potrafię i nigdy nie będę umiał.

- Miałem szczęście i, tak jak ty, ciężko w życiu pracowałem - powiedział Quinn, chcąc zachować szacunek, jaki do siebie czuli, niezależnie od tego, skąd się wywodzili.

On był legendą biznesu, a Jack Adams prostym cieślą, ale też uczciwym rzemieślnikiem i porządnym człowiekiem. Quinnowi nie zależało na kimś lepszym, ale Jack żądał dużo więcej od samego siebie i wiedział, że nigdy tego nie osiągnie.

Pochodzenie mu ciążyło, a Quinn nie znał dobrze drogi, jaką ten człowiek musiał pokonać, by zostać tym, kim był.

- Nie chodzi o szczęście. Jesteś inteligentny i dobrze wykształcony. Jesteś kimś o wiele lepszym niż ja i nic tego nie zmieni. Ja mogę tylko wykonywać swoją pracę - skwitował Jack ponuro.

- Przecież możesz się kształcić, gdybyś tylko zechciał - odparł optymistycznym tonem Quinn.

Nie oczekiwał po Jacku tak depresyjnych nastrojów, nie tego się spodziewał po miesiącach współpracy. Jack wydawał mu się dobrze zorganizowany i biorący życie za bary. Teraz przekonał się, że ten sympatyczny i bezpośredni młody człowiek ma chorą duszę. Quinn chciał za wszelką cenę dodać mu trochę wiary w siebie.

- Nie mogę iść na studia. Prawie nie umiem czytać - wyznał z rozpaczą Jack, spoglądając Quinnowi prosto w oczy.

Potem zapłakał, kryjąc twarz w dłoniach. Quinn nie wiedział, jak się zachować. Nigdy dotąd nikt nie powierzył mu tak wstydliwego sekretu, nie wyznał niczego równie bolesnego. A teraz obcy człowiek, który mógł być rówieśnikiem jego syna, nagle przed nim się odsłonił. Bezradnie patrzył na drżące ramiona młodego mężczyzny, po czym objął go bez słowa. W jego oczach też pojawiły się łzy. Niesamowita historia.

- To bez znaczenia - pocieszył go Quinn, dotykając ramienia Jacka.

- To ma ogromne znaczenie. Nie mogę czytać książek, listów ani twoich wskazówek. Nie umiem odczytać formularzy na pocztę czy w banku. Nie potrafię przeczytać kontraktu. Robiłem badania. Jestem zdolny jedynie do odczytywania i rozumienia znaków. Nie przeczytam składu lekarstwa ani instrukcji obsługi. Nawet wskazówki, gdzie trzeba jechać, w związku z tym mapy to dla mnie problem.

Niczego nie czytam i z trudem się podpisuję. Tak to już jest. Dlatego mogę być w życiu tylko niepiśmiennym stolarzem. Żadna kobieta nie wytrzymała ze mną dłużej



niż kilka tygodni. Gdy odkrywały moją tajemnicę, zaczynały mną gardzić. Uważały, że jestem głupi. Umiem pracować rękami. Niczego więcej się nie nauczę.

Quinn pojął, że Jack ma ambicje i oczekiwania wobec życia, ale nie wie, jak je realizować. W jego oczach było cierpienie i żal, że jest aż tak ograniczony i skazany na to ograniczenie do końca życia. Wyznanie Jacka było przejmujące i Quinn z początku nie wiedział, jak zareagować. Miał ochotę przytulić go, jak pociesza się płaczące dziecko. Jednak Jack nie był dzieckiem, był dorosłym mężczyzną, silnym, uczciwym i najprzystojniejszym, jakiego Quinn spotkał. Pragnął mu pomóc, ale jeszcze nie miał pomysłu, jak się do tego zabrać. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to okazać, że nieumiejętność czytania w jego oczach w niczym nie umniejsza wartości Jacka jako człowieka. Jeszcze mocniej ścisnął jego ramię. Po kilku minutach Jack wstał i powiedział, że musi już iść. Był poruszony i zawstydzony, że aż tak się odsłonił przed obcym człowiekiem.

- Mam przyjaciółkę, która wszystko dla mnie czyta. Jutro omówimy twoją listę - powiedział cicho, wkładając kurtkę.

Quinn kiwnął głową w milczeniu. To było porozumienie ponad słowami, związek dusz.

W nocy Quinn nie mógł zasnąć do trzeciej nad ranem, tak był poruszony prawdą o Jacku. A kiedy zbudził się rano, ujrzał na podjeździe znajomą furgonetkę. Szybko włożył spodnie i sweter i wyszedł na dwór, by poszukać Jacka. Wymienili długie spojrzenia, znaczące o wiele więcej niż jakiegokolwiek słowne powitanie. Quinn zaprosił Jacka do domu. Stolarz, jak było do przewidzenia, wyglądał na wyczerpanego. On także spędził bezsenną noc, bijąc się z myślami, czy dobrze zrobił, obnażając przed Quinnem swoją słabość. Najbardziej obawiał się utraty jego szacunku.

- Znam już listę na pamięć - powiedział.

Usiedli w kuchni.

- Musisz dołożyć do tego trochę ekstra godzin - powiedział spokojnie Quinn, nie odnosząc się wprost do tego, co zdarzyło się poprzedniego wieczoru. - Chcę,

żebyś zostawał ze mną dwie godziny każdego dnia po pracy, oczywiście w soboty też. - Zabrzmiało to niemal groźnie i Jack się zaniepokoił. Na liście oczekiwań i w kontrakcie nie było o tym wzmianki.

- Uważasz, że pracujemy za wolno? - spytał Jack. Według niego prace szły nadspodziewanie sprawnie i sądził, że Quinn uważa tak samo.

- Nie chodzi o prace, idą jak po maśle. Musimy zabrać się do czegoś innego. - Quinn, mówiąc to, poczuł przyspieszenie pulsu.

Była to ważna sprawa i chciał za wszelką cenę nakłonić Jacka, by się zgodził, zresztą dla obopólnego dobra, bo problem Jacka stał się teraz także problemem Quinna. Zeszłej nocy zawarli niepisany układ i za nic nie chciał zerwania tej niewidzialnej więzi. Jack obdarzył go czymś najcenniejszym - pełnym zaufaniem. Quinn zamierzał mu się odplacić.

- Do czego? - spytał zmieszany Jack.

Zapanowała długa cisza. Mężczyźni w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Była w tym nadzieja.

- Jeśli mi pozwolisz - zaczął ostrożnie Quinn - chciałbym cię uczyć.

Po policzkach Jacka pociekły łzy. Quinn też płakał. Trwało to i trwało, aż wreszcie Jack zdobył się na odpowiedź.

- Naprawdę byś to dla mnie zrobił? Dlaczego?

- Obu nam na tym zależy. Robiłem w życiu mnóstwo rzeczy głupich, samolubnych i złych. Teraz mam szansę uczynienia czegoś przyzwoitego. I niech cię Bóg wynagrodzi, że dałeś mi tę szansę. - Zabrzmiało to, jakby Quinn prosił Jacka o przysługę, a nie odwrotnie. Obaj wyruszyli w nieznaną drogę. - Zgadzasz się?

- Co za głupie pytanie - odparł Jack, ocierając łzy. Uśmiechnął się, a radość w jego oczach odbiła się w oczach Quinna. - Kiedy zaczynamy?

Od dawna Jack chciał się zapisać do szkoły, ale nie pozwalał mu na to wstyd. Teraz w ogóle nie czuł wstydu, przeciwnie, był dumny i szczęśliwy, że Quinn chce mu poświęcić czas.

- Od razu. - Quinn przesunął gazetę i swoje krzesło tak, żeby siedzieć obok Jacka. - Zanim skończysz u mnie tę robotę, będziesz czytał jak z nut. Jeśli zajmie nam to trochę więcej czasu, to nie ma znaczenia. Nic się nie dzieje przypadkiem i nie przypadkiem powiedziałeś mi wczoraj o sobie. Zaczynamy.

Jack uśmiechnął się do swego nauczyciela, a Quinn nalał kawy do dwóch kubków. Lekcja się zaczęła.

## ***ROZDZIAŁ SZÓSTY***

Przez następne tygodnie lekcje toczyły się bez przeszkód. W dzień Jack pracował, a wieczorami zostawał z Quinnem na dwie godziny albo dłużej i wspólnie, długo i z mozołem przedzierali się przez teksty gazety. Z czasem, gdy Jack poczuł się pewniej, Quinn zamiast prasy brał książki żeglarskie. Po miesiącu zdecydował się przeczytać wraz z nim jeden z uroczych wierszy Jane. Skończyło się to sukcesem, bo Jack nie tylko w pełni pojął treść wiersza, ale zdołał go - wolno, lecz bez błędów - przeczytać na głos. Kiedy mu się to udało, z podziwem spojrzął na Quinna.

- Jakie to piękne. To musiała być niezwykła kobieta - wyszeptał, wciąż poruszony wymową wiersza i faktem, że umiał go samodzielnie przeczytać.

- Była niezwykła - ze smutkiem przytaknął Quinn. - Przez wiele lat prawie jej nie znałem. Odkryłem jej osobowość dopiero w ostatnich miesiącach naszego wspólnego życia. Ogromnie mi żał straconych lat.

Nie dodał, że właściwie w pełni odkrył Jane już po śmierci, przez zapiski, które odnalazł. Odczuwał jako tragedię to, że przez własną ignorancję i nieczułość zmarnował trzydzieści sześć wspólnych lat. Nie miał się czym szcycić.

- Na zdjęciach jest bardzo ładna - cicho rzekł Jack. Jane była delikatna i drobna - lecz kryła się w niej żelazna wola i determinacja, o której Quinn nie miał pojęcia. Jane miała piękną duszę.

- Była ładna - powiedział Quinn, nie kryjąc miłości do zmarłej żony - i była nadzwyczajnym, wspaniałym człowiekiem - dodał. Lekcja się skończyła.

Jack robił nadzwyczaj szybkie postępy, a Quinn dawał mu to wszystko, czego w przeszłości nie ofiarował własnym dzieciom. Czuł się, jakby rozkuwał więzienia z łańcuchów. Nieumiejętność czytania był dla Jacka dożywotnim wyrokiem w pojedynczej celi. Teraz Quinn otwierał przed nim żelazne drzwi. Jednocześnie zatrząskiwał za nimi siebie, skazany na samotność, bez możliwości odkupienia grzechów. Choć musiał przyznać, że odkąd zaczął uczyć Jacka, dręczący senny koszmar pojawiał się coraz rzadziej. Tak jakby dobry uczynek wymazywał stopniowo stare winy.

Pod koniec lutego, po lekcji, Jack zaczął mówić o sąsiadce Quinna, Maggie Dartman. Stale przyjeżdżał do niej w niedziele, powoli naprawiając uszkodzenia. Za każdym razem poruszała go jej samotność. Na wszystkich ścianach wisiały zdjęcia zmarłego syna. Powiedziała Jackowi, że chłopiec popełnił samobójstwo dwa dni po ukończeniu szesnastu lat. Nie mówiła, dlaczego żyje sama, bez mężczyzny, ale Jack nie musiał pytać. Gdyby miała kogoś, dawno naprawiłby szkody. Maggie wspomniała raz, że jest nauczycielką, a jej mąż, odkąd umarł syn, przebywa na półtorarocznym stypendium naukowym.

W zwyczaj weszły wspólne, Quinna i Jacka, piątkowe kolacje po lekcjach. Quinn przygotowywał jedzenie, a Jack przywoził butelkę wina. Gadali i poznawali się coraz lepiej. Była to klasyczna męska przyjaźń, choć czasem Quinn grał rolę ojca. Jack podziwiał jego umiejętności w bardzo wielu dziedzinach. Quinn pochodził z rolniczej rodziny z południowego wschodu, ale po szkole średniej otrzymał stypendium do Harvardu. Tam rozwinął skrzydła. Jane uwierzyła w niego od momentu, gdy się poznali. Była przy nim przez całe życie - od czasu, gdy nie miał grosza przy duszy aż do chwili, gdy obracał milionami. Jego sukces przyszedł wcześniej i zaowocował dalszymi sukcesami. Został milionerem przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia. Miał dar Midasa - wszystko, czego dotknął, zamieniało się w złoto. Niesamowite, ale chyba nie udało mu się w życiu zrobić

złego interesu. Nienawidził dobrego - wszystko musiało być u niego lepsze. Miał niebывały instykt, dzięki któremu w porę wycofywał się z podejrzanych układów. Był w jakimś sensie geniuszem, choć Jack, im lepiej go poznawał, nie mógłby powiedzieć, że to wszystko przyniosło mu szczęście. Quinn był bardzo samotny i bardzo nieszczęśliwy.

Mało tego, marzył o jeszcze większej samotności. Po to budował sobie łódź. Opowiadał o niej Jackowi, jak mężczyzna opowiada o ukochanej kobiecie. Marzył o niej dniami i nocami. Odkąd Jane umarła, a córka odmówiła wszelkich kontaktów, całe jego życie uczuciowe przeniosło się do stoczni w Holandii. Ta kochanka nie mogła go zdradzić ani opuścić. Pragnął pływać po morzu, daleko od lądu, to przynosiło ukojenie. A w okresie oczekiwania pomagał Jackowi stać się wartościowym człowiekiem.

Dla obu ta przyjaźń była ważna. Jack coraz lepiej poznawał Quinna. Na skutek cotygodniowych wizyt w domu Maggie coraz bardziej się do niej przywiązywał. Była bardzo delikatna i wrażliwa. W niedzielę po pracy zapraszała Jacka na lunch. Czuło się, że podobnie jak Quinn, jest niezwykle samotna. Rzadko wychodziła z domu. Czytała i pisała albo po prostu siedziała i rozmyślała. Widział, z jakim wyrazem twarzy patrzy na fotografie syna, i miał wtedy łzy w oczach.

- Powinieneś ją kiedyś zaprosić - zasugerował Quinnowi. - Jest bardzo miła. Spodobałaby ci się.

- Nie interesuję się kobietami - obruszył się Quinn. - To, co najlepsze w moim życiu, minęło. Nie zamierzam umawiać się na randki. Czułbym się, jakbym zdradzał pamięć Jane. - Quinn nie mógłby i nie chciał jej zdradzać. Dość ludzi skrzywdził, by chcieć to robić dalej. Jack był zaskoczony jego przewrażliwieniem.

- Nie to miałem na myśli - wyjaśnił. - Maggie jest miła i dobra i przeszła ciężką próbę. Nie znam dokładnie tej historii, ale pogrzeb syna to musiał być cios. Ona z nikim nie rozmawia, nigdzie nie chodzi. Telefon nie dzwoni. Nie ma przyjaciół, którzy by się nią interesowali. Pomyślałem, że moglibyśmy zaprosić ją któregoś piątku na kolację. Ma poczucie humoru i nie jest nudna. To byłby dobry

uczynek. - Jack był bystrym obserwatorem i umiał wczuwać się w ludzkie nastroje. Widział, że Maggie, podobnie jak Quinn, żyje wspomnieniami i bólem.

- Myślałem, że ma męża. - Quinn był zaskoczony. - Faceta, który stale gdzieś jeździ w interesach.

- Ja też tak myślałem. Wygląda na mężatkę, a i dom wydaje się za duży dla samotnej kobiety. Na pewno brakuje jej pieniędzy. Nie wiem, czy jest wdową, czy rozwódką, ale żyje sama. Może jej mąż umarł i zostawił jej jakiś mały kapitalik. - Dom jest porządny i na pewno w momencie zakupu nie był tani, mimo że teraz jest w niezbyt kwitnącym stanie. Maggie zdecydowała się na najbardziej podstawowe naprawy, ciągle pytając Jacka, co i ile będzie kosztowało. - Nie znam historii jej życia, Quinn, ale na pewno nie jest szczęśliwa. Bądź samarytaninem i zaproś ją za tydzień.

- Niech ci będzie - mruknął Quinn.

Gdy po dwóch tygodniach wyciągał z piecyka ogromną pieczeń, Jack spojrzał na niego z oburzeniem.

- Przecież nie zjemy tego sami, a to grzech marnować jedzenie.

Istotnie, cieleca pieczeń, zamiast zmaleć, jakby dwukrotnie urosła w piecu. Był to najbardziej wytworny posiłek, na jaki Quinn zdobył się od czasu rozpoczęcia lekcji.

- Jak chcesz, to zadzwonię do Maggie i spytam, czy jest zajęta - powiedział z wahaniem, ale Jack nie dał mu szansy na zmianę zdania. Quinn zastanawiał się, czy aby stolarz nie zakochał się w jego sąsiadce. - Albo nie, ty zadzwonisz i powiesz jej, że to był twój pomysł. Nie chcę, żeby sobie wyobrażała, że knuję jakąś intrygę. Powiedz jej, że jestem zgorzkniałym starym dziadem, który kupił za duży kawał mięsa, i gotów jest się nim podzielić.

Jack roześmiał się i wykręcił numer. Maggie była zaskoczona i równie oporna jak Quinn. Nie bardzo chciała przyjść, póki Jack nie zapewnił jej, że nie chodzi o nic innego jak o sympatyczną sąsiedzka kolacyjkę. Po paru minutach zadzwoniła do drzwi.

Quinn zdziwił się, że jest taka drobna, o wiele niższa, niż zapamiętał. Kiedy rozmawiali, dzielił ich żywopłot. Teraz, na progu, wydawała się mała niczym wychudzony wróbelek. Jej oczy były pełne obawy i smutku. Już samo to obudziło w nim opiekuńcze instynkty. Rozumiał teraz współczucie Jacka dla tej kobiety. Na pewno potrzebowała przyjaciela i męskiego wsparcia.

Zaprosił ją do kuchni, gdzie Jack już kroił smaczną pieczeń. Na jego widok oczy jej pojaśniały. Wydawała się znacznie młodsza, gdy się uśmiechnęła. Quinn odzyskał swobodę, gdy siadali do stołu. Napełnił trzy kieliszki winem.

- Jak idzie nauka? - spytała zwyczajnie, po obowiązkowych podziękowaniach za zaproszenie. Jack zwierzył jej się, co robi po pracy i jak bardzo jest wdzięczny Quinnowi za jego trud. Quinn natychmiast zyskał uznanie w oczach Maggie.

- Powoli, ale do przodu - odparł Jack z uśmiechem.

Robił bardzo szybkie postępy. Umiał już dobrze czytać, choć długo zastanawiał się nad każdym słowem, a niektórych nie znał i nie rozumiał. Nauczył się wszystkich żeglarskich terminów, ale nie zamierzał na tym poprzestać. Quinn postanowił, że nauczy go nie tylko czytania, ale i żeglarstwa. Chciał się z nim podzielić swą pasją. Jack zainteresował się czytaniem książek. Z poezją zapoznawał się za sprawą wierszy Jane. Fakt, że Quinn zechciał się z nim podzielić swymi skarbami, bardzo mu pochlebiał.

- Pierwszy uczeń w klasie - powiedział Quinn z dumą, a Jack się zaczerwienił.

- Jack wspominał, że jest pani nauczycielką - zwrócił się do Maggie, kiedy przechodzili do kawy i deseru.

- Byłam - odparła z prostotą. Towarzystwo obu mężczyzn sprawiało jej przyjemność. Przy stole zgromadził ich czysty przypadek, a jednak pasowali do siebie. - Nie uczę od dwóch lat - dodała z nutką żalu.

- A czego pani uczyła? - zainteresował się Quinn. Wyobrażał ją sobie wśród małych dzieci, może nawet w przedszkolnej zerówce.

- Fizyki w gimnazjum - zaskoczyła go. - To był najbardziej znienawidzony przedmiot, choć właściwie nie, bo uczniowie wybierali go dobrowolnie. Miałam

bardzo zdolnych uczniów, większość na studiach nie porzucała całkiem fizyki. Inni, mniej zainteresowani, mogli wybierać biologię, ekonomię albo nauki ścisłe.

- To znaczy, że była pani dobrą nauczycielką. Ja w szkole lubiłem fizykę, choć potem wybrałem inne studia. Czemu już pani nie uczy? - spytał grzecznościowo. Odpowiedź była jak uderzenie obuchem.

- Mój syn umarł, a potem wszystko się posypało - odrzekła, niczego nie udając. Quinn docenił ten brak fałszu. - Dziewiętnaście miesięcy temu popełnił samobójstwo. - Wyrzuciła to z siebie. Mogła z tym poczekać, ale nie chciała. Niedługo miesiące zmieniają się w lata, czas będzie stopniowo zamazywać wspomnienia, zrywać więź między synem i matką, której nie udało jej się utrzymać. - Cierpiał na ciężką formę depresji. U większości młodych ludzi nie musi kończyć się samobójstwem, choć często o tym myślą. Kiedy nawet mają huśtawkę nastrojów, jakoś udaje im się z tego wyjść. Andrew był inny. Zatracił się, gdy poszedł do szkoły średniej. A kiedy to już się stało, straciłam serce do zawodu. Dali mi długi urlop, żebym mogła oswoić się z żałobą. Chodziłam do psychiatry, a gdy skończyłam leczenie, okazało się, że wciąż nie jestem gotowa do powrotu - wyznała.

Musiała znów zacząć pracować, żeby żyć, choć może nie w szkole.

- Czym się pani teraz zajmuje? - cicho spytał Quinn.

- Doradzam rodzicom, którzy znaleźli się w takiej samej sytuacji jak ja. -

Maggie westchnęła. - Nie wiem, czy moje rady na coś im się przydają, ale przynajmniej nie jestem bezczynna. Trzy wieczory w tygodniu pracuję w telefonie zaufania dla nastolatków z problemami. Mam bezpośrednie połączenie, nie muszę wychodzić z domu. Też nie wiem, czy to, co im mówię, jest mądre, ale przynajmniej się staram. Nie można tylko siedzieć i płakać.

Quinn zastanawiał się, czy to nie jest przypadkiem sypanie soli na otwartą ranę, ale doszedł do wniosku, że nie. Maggie, mimo smutnego spojrzenia, wydała mu się osobą zrównoważoną. Ciekaw był, kim jest jej mąż, ale nie chciał się dopytywać. Sama powie, jeśli będzie chciała.



- Może już dawno wróciłabym do szkoły, ale śmierć Andrew rozbiła moje małżeństwo. Ja i mąż zaczęliśmy się nawzajem obwiniać o to, co się stało, choć nie można było tego ani zmienić, ani cofnąć. Męczyliśmy się tak przez rok, aż do zupełnego rozkładu. Wyprowadził się dwa dni po rocznicy śmierci syna. W tydzień po świętach odbyła się ostatnia rozprawa rozwodowa - poinformowała rzeczowo. Quinn przypomniał sobie, że wtedy po raz pierwszy się spotkali, podczas burzy, a ona to potwierdziła. - Znalazłam w skrzynce orzeczenie. W sylwestra. Huragan wydawał mi się właściwym finałem dla całej tej sprawy. Musiałam wyglądać na wariatkę, kiedy zaczęliśmy rozmawiać. Przepraszam, ale byłam bardzo zdenerwowana.

- Wcale nie - zaprzeczył Quinn, przypominając ją sobie, jak stoi w deszczu bez płaszcza i parasolki.

Kiedy mu powiedziała, że ma w kuchni Niagarę, była całkowicie zdesperowana. Teraz rozumiał powody. Nie ukrywała tego, co się działo w jej duszy, może traktując głośne opowiadanie jako formę terapii. Dobrze, że przyszła na kolację.

Quinn błogosławił w duchu Jacka za ten pomysł. Tej kobiecie potrzebny był serdeczny kontakt z ludźmi, który oderwałby ją od czarnych myśli. Byli teraz jak trójka rozbitków w szalupie. Quinn siedział przy wiosłach. Postanowił obdarzyć Maggie zaufaniem i opowiedzieć jej o własnym nieszczęściu. Sam był żywym dowodem, że daje się z tym żyć.

- Mój syn zginął dwadzieścia trzy lata temu w wypadku na łodzi - wyznał, spoglądając jej prosto w oczy. Jack przyglądał się im z fascynacją. Quinn nigdy nawet nie wspomniał o synu, wydawało się, że ma tylko córkę. - Doug miał wtedy trzynaście lat. Dopiero niedawno dotarło do mnie, jak bardzo ta śmierć zmieniła nasze życie. Mnie coraz bardziej pochłaniała praca, a moja żona pograżyła się w sobie. I tak już pozostało. Obydwoje odczuwaliśmy żal, ale gdy po śmierci żony zacząłem czytać jej dzienniki, zrozumiałem, do jakiego stopnia ją to zmieniło. Ja byłem wtedy naprawdę bardzo zajęty, co pewnie wyglądało na nieczułość. Nie

stanąłem przy niej, gdy tego najbardziej potrzebowała. Rozmowy na ten temat też bolały, więc ich unikałem. Jane pięknie opisała Douga. - Quinn poczuł łzy w oczach. Nie znalazł już siły, by opowiedzieć, jak zmusił Jane do usunięcia rzeczy po synu kilka tygodni po wypadku i jak kilka jego swetrów ukrywała przed Quinnem w swojej szafce. Nie powinien był tego robić, teraz to wiedział. Wówczas wydawało mu się, że postępuje właściwie, mając na względzie dobro Jane i Alex. Lekcja, jaką przerobił po śmierci żony, była gorzka.

- Koszmarna historia. - Spojrzenie Maggie przeszywało Quinna. Chciała wiedzieć, jak udało mu się pogodzić ze stratą i co w tym celu zrobiła jego żona. Siebie wciąż oskarżała o rozpad własnego małżeństwa.

Zawsze jej się zdawało, że mężowi brakuje empatii i z tego powodu lekceważy nastroje syna, zamiast się nimi przejmować. Nigdy nie wybaczyła Charlesowi śmierci Andrew, a on o tym wiedział, choć te słowa nie padły. Uważał, że żona szybciej powinna wrócić do normalnego życia. Ich ostatni wspólny rok był ciągiem milczących oskarżeń. Nie mogli już na siebie patrzeć. Cokolwiek by zrobili, nic już nie mogło przywrócić im syna.

Choć Maggie była załamana, gdy Charles od niej odszedł, wiedziała, że to właściwa decyzja, bo pod koniec ich związek był równie martwy jak Andrew. Charles zabezpieczył ją, tak jak mógł, choćby zostawiając dom i rentę umożliwiającą parę lat spokojnego życia. W końcu powinna się otrząsnąć i wrócić do nauczania. Było jednak zbyt wcześnie; podobnie jak Quinn chroniła się przed światem jak chore zwierzę w norze. Utknęła wokół siebie gruby kokon, żeby nie docierały do niej ani blaski, ani cienie. Musiał minąć czas, by uleczyć rany, a choć mówiła o nich tak odważnie i otwarcie, jej spojrzenie wciąż pozostawało przejmująco smutne.

- Przeżyłaś ciężki szok - powiedział łagodnie Quinn, a Maggie skinęła głową. Nie było sensu zaprzeczać, choć z drugiej strony nie chciała się przedstawiać jako ofiara. W odczuciu Quinna była dzielna i silna.

- Wielu ludzi doświadcza równie traumatycznych przeżyć - odparła. -

Doświadczenie z grupy samopomocy, w której działałam, utwierdza mnie w tej opinii. Samobójstwa to plaga wśród dzisiejszej młodzieży, ale dorośli przeważnie tego nie rozumieją. Jeszcze dużo wody upłynie... Andrew próbował dwa razy, zanim mu się udało.

- Brał jakieś środki? - zapytał współczująco Quinn.

- Czasem tak, czasem nie. Nie chciał ciągle być na prochach. Był wystarczająco bystry, by udawać, że bierze, co mu przepisują. Nie lubił leków, mówił, że go otepiają albo powodują stany lękowe. Wszystko to prawda, teraz wysłuchuję o tym trzy razy w tygodniu.

Quinn podziwiał, że ma dość siły na wolontariat. Teraz rozumiał, dlaczego Jack tak bardzo się do niej przywiązał. Była otwarta, uczciwa i nie bała się odsłaniać słabych stron. Rozmowa z nią uprzytomniła Quinnowi, że nie jest sam na świecie ze swoim cierpieniem. Opowiedział Maggie o Jane - o tym, jak ją zaniedbywał dla pracy, jak na całe tygodnie uciekał z domu, jak potem zbliżyli się, gdy poszedł na emeryturę, jak nagle zachorowała i umarła.

- To stało się tak szybko, że nie mieliśmy czasu się z tym oswoić.

- Ile to trwało? - spytała współczująco.

- Dziewięć miesięcy. Zmarła w czerwcu. Przez następne pięć miesięcy pływałem. Wróciłem tu w listopadzie, żeby przygotować dom do sprzedania. Chciałbym to zrobić na wiosnę.

- A co potem? - spytała z zainteresowaniem.

Wyczuwała, że Quinn należy do grupy chorych nazywanych przez terapeutów geograficznymi, czyli takich, którzy przejawiali chęć ucieczki. Nie chciała burzyć jego iluzji, choć wiedziała, że ten zabieg i tak nie podziała. Wszystko jedno gdzie był, mógł uciec choćby na koniec świata, a kłopoty i tak podążały razem z nim. Najważniejsze było, by potrafił sobie wybaczyć, tak jak ona i Charles musieli sobie wybaczyć, że dopuścili do śmierci syna. Jeśli to nie nastąpi, fizyczna ucieczka z miejsca tragedii nic nie pomoże.

- Buduję jacht w Holandii - dodał Quinn, po czym opowiedział jej o rejsie na „Victory” i decyzji, by dokończyć łódź zamówioną przez Boba Ramsaya. - Na razie wypłynę w rejs dookoła świata, a potem się zobaczy. Pewnie na zawsze zostanę na morzu - powiedział z nadzieją, że gdy postawi nogę na łodzi, uwolni się od demonów. Maggie nie skomentowała jego słów, choć miała na ten temat swoje doświadczenia. Natomiast wizja łodzi podziałała na jej wyobraźnię.

Uśmiechnęła się do własnych myśli.

- To z pewnością będzie cudo. - Westchnęła niemal z zazdrością.

- Umiesz żeglować? - spytał zaskoczony Quinn.

- Kiedyś pływałam. Pochodzę z Bostonu, więc spędzałam wakacje na Cape Cod Bay. Uwielbiałam to, ale od lat nie miałam okazji spróbować. Mój mąż nie lubił żagli, a i Andrew nie przepadał za wodą.

- Jane i moja córka Alex też nie lubiły wody, a po śmierci Douga to się przerodziło w fobię. Na początku, kiedy się tu sprowadziliśmy, miałem własną łódź, tylko nie było czasu pływać. Sprzedałem ją rok po śmierci syna. Teraz mam okazję wrócić do mojej prawdziwej pasji. - Quinn uśmiechnął się do swych gości.

Jack był zachwycony, że spotkanie do tego stopnia się udało.

Quinn i Maggie mieli ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż mu się zdawało. Oboje potrzebowali towarzystwa. Zbyt długo byli sami, pogrążeni w bolesnych wspomnieniach. Taki wieczór jak ten wyraźnie ich ożywił.

- Sto osiemdziesiąt stóp pokładu to rzeczywiście nie byle co. - Maggie się zaśmiała. - Na pewno szalejesz z radości.

- Jasne. We wrześniu będzie wodowanie - oświadczył i wyciągnął plany. Pochylili się nad nimi, a Jack posprzątał po kolacji.

Był to naprawdę udany wieczór, a obecność Maggie dodała mu wdzięku, abstrahując od jej szczerego do bólu wyznania. Quinn opowiadał o każdym elemencie łodzi z ogniem w oczach, a Maggie zadawała same celne pytania. Okazało się, że sporo wie o budowie żaglówek i zna nazwiska najlepszych projektantów, co oczywiście zrobiło wrażenie na Quinnie. Po złożeniu planów Jack

zapropował grę w kości, którą zwykle kończyli piątkowe posiedzenia. Maggie roześmiała się i powiedziała, że nie bawiła się w to latami, po czym ograła obydwóch, póki Quinn nie wyszedł na prowadzenie. Rozstali się po północy. Maggie musiała wracać, bo od pierwszej w nocy miała dyżur w telefonie zaufania. Była w znakomitym humorze. Jack został jeszcze parę minut.

- Mówiłem ci, że to świetna kobieta - zagadał. - Co przeżyła, to przeżyła. Ogrodnik, który do niej przychodzi, mówił mi, że to ona znalazła ciało. Mąż to skończony palant - dodał, choć Maggie w swych opowieściach oszczędzała Charlesa jak mogła. Była ładna, miła i dobra. Zaslugiwała na porządnego faceta, zwłaszcza po tym, co ją spotkało.

- Ludzie w takich okolicznościach robią sobie różne świństwa. - Quinn pokiwał głową. - Uważam, że Jane miałyby prawo mnie zostawić. Bogu dzięki nie posunęła się do tego, choć w ogóle się o nią nie troszczyłem. Interesowały mnie tylko własne uczucia. Wydawało mi się, że jak nie będę mówić o śmierci syna, to problem sam zniknie. A tymczasem zalazł nam pod skórę i latami gryzł jak robak. - Quinn nie dodał, że z dzienników Jane wynikało, że rozumiała jego postawę i pozwalała mu przeżywać żalobę na własny, surowy sposób. Podobnie jak Maggie, wzięła na swoje barki całą samotną żalobę osieroconej matki.

Po wyjściu Jacka Quinn długo jeszcze krzątał się po kuchni, porządkując naczynia. Kiedy poszedł do sypialni, zobaczył przez okno światła w kuchni Maggie. Z pewnością siedziała przy telefonie. Jeszcze się tam paliło, gdy się kładł. Zasnął nad dziennikiem Jane, tego dnia spokojniejszy niż zwykle. Odniósł wrażenie, że jej duch mu wszystko wybacza. Pozostawał problem, czy on kiedykolwiek zdoła sam sobie wybaczyć.

## *ROZDZIAŁ SIÓDMY*

W następny piątek znów cała trójka spotkała się u Quinna, w dobrych humorach po udanym tygodniu. Znów rozmawiali o jachtach i grali w kości. Na deser Maggie przyniosła ciasto czekoladowe własnej roboty. Odtąd kolacje powtarzały się co tydzień, uprzyjemniając początek kolejnego weekendu.

Jack pilnie uczył się czytać, a Quinn zapoznał się z nowoczesnymi technikami pedagogicznymi dzięki książkom dostarczonym mu przez Maggie. Z Holandii przysłano nowe projekty, które natychmiast zaprezentował przyjaciołom. Łódź nabierała ostatecznych kształtów. Zbliżał się kwiecień i prace stolarskie były także na ukończeniu, choć wszystkim zależało raczej na tym, by je przedłużyć. Zawezwany pośrednik handlu nieruchomościami zasugerował kilka drobnych ulepszeń, które zrobią dobre wrażenie na potencjalnym kupcu.

Quinn postanowił skorzystać z porady i oddać dom do sprzedaży w maju lub czerwcu. Nie zależało mu na czasie; musiał przecież gdzieś mieszkać, nim we wrześniu postawi nogi na pokładzie. Pośrednik uważał natomiast, że bardzo szybko znajdzie się kupiec, i nie zalecał zwłoki.

W piątkowy wieczór Quinn powiedział o tym przyjaciołom i wręczył Jackowi kolejną listę, którą ten mógł już bez trudu odczytać. W następnym tygodniu nadeszły upały, więc zamiast siedzieć w kuchni, przenieśli się do ogródka Maggie. Ustawiła tam stół piknikowy nakryty błękitnym obrusem. Jedzenie, czyli pieczone kurczaki, hamburgery i sałatkę kartoflaną, przygotował Quinn. Atmosfera była prawdziwie wakacyjna. Maggie miała na sobie białą lnianą sukienkę, a luźno puszczone włosy falami opadały jej na plecy.

Jack zwierzył się, że poznał w kościele bardzo miłą dziewczynę, więc pozostała dwójka zaczęła z niego żartować. Maggie życzyła mu szczęścia, a Quinn uznał, że jest beznadziejną romantyczką. Jack skończył już trzydzieści sześć lat i zdaniem Maggie była to najwyższa pora, by się ustatkował. Skoro przewalczył kompleks

analfabety, nic nie stało na przeszkodzie. Przy deserze oświadczyła, że Jack musi się ożenić i mieć dzieci.

- A ty? - zapytał, nakładając sobie arbuza.

- Mam to za sobą - odparła, nie przywiązując do tego pytania większej wagi.

Miała czterdzieści dwa lata i uznała, że czas miłości dla niej się skończył. Przez osiemnaście lat była mężatką. Śmierć syna i odejście męża ostatecznie wyleczyły ją z romantycznych marzeń. Oświadczyła, że odtąd będzie żyć sama.

- Przecież jesteś tylko sześć lat ode mnie starsza - przypomniał jej Jack, a Quinn wybuchnął śmiechem.

- Bylibyście dobraną parą - zauważył.

Jack też o tym myślał, ale nie chciał zepsuć przyjaźni, jaka się między nimi nawiązała. A teraz spodobała mu się niedawno poznana dziewczyna.

- Nie wydaje mi się - z uśmiechem odpowiedziała Maggie.

Uważała ich obu jedynie za dobrych przyjaciół. Poza tym idylla we troje dobiegała końca, o czym wszyscy wiedzieli, smucąc się z tego powodu. Quinn wyjedzie do Europy, a Jack zajmie się młodymi kobietami, jak nie tą, to inną. Jedyne plany, jakie mogła snuć Maggie, to powrót we wrześniu do szkoły. Coraz częściej o tym wspominała. Samotność już jej nie męczyła; stała się, podobnie jak u Quinna, bezpiecznym i wygodnym schronieniem. Brakowało jej tylko systematycznej pracy.

Następnego piątku Quinn zrobił im niespodziankę. Wciąż było ciepło, choć nie upalnie, a dni coraz dłuższe i słoneczne, zapowiadające rychłe nadejście lata.

- Co macie zamiar robić? - spytał z miną niewiniątka, choć wiedział to lepiej od nich. Pomysł nasunęły mu regaty, które oglądał w środę w jachtklubie.

- Pracować dla ciebie - odpowiedział Jack.

Wybierał się na randkę w sobotę, bo piątki miał zajęte. Swojej dziewczynie powiedział, że grywa wtedy w pokera, co pozwoliło mu uniknąć niewygodnych wyjaśnień na temat kolacji z Quinnem, Maggie i lekcji czytania. Nic o tym nie wiedziała i na razie nie musiała wiedzieć. To Maggie poradziła mu, by nie mówił za

wiele. Nauka czytania była jego prywatną sprawą i choć mógł być z siebie dumny, nie musiał tego rozgłaszać całemu światu.

- Ja chyba popracuję w ogródku - odrzekła Maggie.

Jak zwykle siedzieli w kuchni Quinna, bo był najlepszym kucharzem. Maggie żyła sałatkami i owocami i prawie dla siebie nie gotowała. Zwierzyła się kiedyś, że od czasu śmierci syna nawet nie podeszła do kuchenki i nie zamierza tego zmieniać, żeby nie wywoływać duchów. Taki układ odpowiadał całej trójce.

- Mam lepszy pomysł - oznajmił Quinn. - Chcę was tu widzieć w sportowym ubraniu jutro o dziewiątej rano.

Maggie się roześmiała. Była śliczna, kiedy się śmiała, choć Quinn zdawał się tego nie dostrzegać. Traktował ją jak młodszą siostrę, a ona Jacka jak młodszego brata. Stworzyli coś w rodzaju rodziny, bo każde z nich takiego związku potrzebowało.

- Gdybym nie znała pana tak dobrze, jak znam, panie Thompson, pomyślałabym, że zaprasza nas pan na żagle - zgadywała.

- Moja łódź jest w Holandii, jak może wiesz. To daleka droga. Chwilowo włóżcie trampki i nie zadawajcie zbędnych pytań.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, bym skończył tę balustradę na piętrze? - spytał Jack, nagle zafrasowany.

- Robota nie zając, nie ucieknie - zapewnił go Quinn, bardzo z siebie zadowolony.

- Mam nadzieję, że nie każesz nam się wspinać. Jestem na to za leniwa i wyszłam z formy. A buty wyrzuciłam przy jesiennych porządkach i przysięgam, że nigdy więcej tego nie zrobię.

- Miej do mnie trochę zaufania - poprosił Quinn.

Znów go ograła w kości i wracała tryumfalnie z trzema dolarami w garści, by do trzeciej w nocy odpowiadać na telefony sfrustrowanych nastolatków.



Następnego dnia Maggie stawiała się punktualnie o dziewiątej w dzinsach, starym swetrze i w kurtce. Ranek był chłodny i wietrzny, choć słońce mocno świeciło.

Nad zatoką nie było nawet pasemka mgły. Jack i Quinn pili kawę.

- Muszę wiedzieć, gdzie jedziemy i po co mi trampki - powiedziała, wskazując czerwone sportowe obuwie harmonizujące kolorem ze swetrem.

- Nie bądź za wścibska, moja droga. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

- Quinn droczył się z nią, co wynikało z niemal rodzinnej zażyłości między nimi.

- Czuję się jak ofiara porwania. - Dołączyła do obu mężczyzn, nalewając sobie kawy do kubka.

Piątkowe kolacje przyzwyczyły ją do swobodnego zachowania. Nie troszczyła się o makijaż ani o eleganckie stroje. Ciemne włosy lśniły w słońcu, upięte w warkocz. Quinn wolał, kiedy nosiła je rozpuszczone, ale nigdy tego głośno nie powiedział. Teraz, kiedy tak na nią patrzył, zadawał sobie pytanie, jak wyglądałaby w makijażu. Nigdy jej nie widział w wersji wyjściowej. Nie starała się wypróbować na żadnym z nich swoich damskich wdzięków.

Po kawie wsiedli do dużego samochodu Quinna i Maggie zauważyła, że pierwszy raz wybierają się gdzieś razem. Zazwyczaj gromadzili się u Quinna w kuchni. Tajemnicza wycieczka bardzo jej się spodobała. Quinn był w znakomitym nastroju i wydawał się rozbawiony jak chłopiec, gdy skręcili w Vallejo, a potem w lewo, do Divisadero. Jechali w stronę wody, z Marina Boulevard skręcili w lewo, wzdłuż brzegu. Maggie zastanawiała się, czy przejadą przez most Golden Gate w kierunku Susalito. Ale nie, skręcili ku terenom St. Francis Yacht Club. Była ciekawa, czy zjedzą lunch w klubie, czy na pokładzie łodzi, oglądając regaty, co lubiła prawie tak jak żeglowanie.

- Fantastycznie! - wykrzyknęła uszczęśliwiona, a Jack uśmiechnął się do niej z tylnego siedzenia.

- Pamiętaj, Quinn, że o siódmej mam randkę - przypomniał. - Lepiej, żebym się nie spóźnił, bo ona mnie zabije.

- Nie bój się, zdążysz - zapewnił go Quinn.

Zaparkował i skierował swoje stadko ku dokom, gdzie cumowały łodzie.

Maggie instynkt od razu podpowiedział, ku któremu jachtowi zmierzają. Był piękny, okazalszy od innych, choć nie tak wielki jak ten budowany w Holandii. Jego sto dwadzieścia stóp długości robiło jednak wrażenie. Quinn podszedł do trapu i wziął przyjaciół za ręce.

- Na pokład! Na dziś jest nasz. Nie warto tracić czasu.

Jack był oszołomiony, Maggie uszczęśliwiona. Na pokładzie czekała już czteroosobowa załoga. Jacht był wyposażony w cztery kabiny, na deku miał salonik i elegancką sterownię. Nosił imię „Molly B” na cześć córki właściciela, starego przyjaciela Quinna, który na lato sprowadził jacht z La Jolla. Quinn wynajął go na jeden dzień, żeby sprawić przyjemność Maggie, a przy okazji pokazać Jackowi, jak się żegluje.

Zwiedzili łódź; Jack wypytywał o każdy szczegół wyposażenia. Szczególnie podobała mu się precyzyjna stolarka. Maggie nie mogła się doczekać, kiedy wypłyną z portu. Quinn był w swoim żywiole, udzielając objaśnień i zdziwił się, kiedy Jack zaczął flirtować z jedną ze stewardes, młodą i ładną Angielką. Swoją uwagę przerzucił wówczas na kapitana i Maggie. Pogoda była wymarzona. Przepłynęli pod Golden Gate i wzięli kurs na Farallones. Przyszły większe fale, ale na szczęście Jack nie zdradzał objawów choroby morskiej.

- Spryciarz z ciebie - powiedziała Maggie, siadając na pokładzie obok Quinna, z twarzą wystawioną na słońce i wiatr. Mimo silnej bryzy było dość ciepło. - Zrobiłeś nam niesamowitą frajdę - dodała z wdzięcznością.

Miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję i uściskać z całej siły, ale nie śmiała. Quinn, choć miły i uprzejmy, wciąż zachowywał dystans. Powiedziała mu to wszystko spojrzeniem, a on zrozumiał. Wszystko układało się tak, jak sobie wymarzył.

Po powrocie do domu byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Quinn dlatego, że zdołał zrobić przyjemność swoim przyjaciołom. Nie mógł przestać wspominać, jak fanta-

stycznie spędzili razem ten dzień. Niełatwo było im się rozstać, podobnie jak przykro było wcześniej opuszczać gościnny pokład „Molly B”. Jack podziękował całej załodze, a szczególnie wylewnie Quinnowi. Maggie nie wiedziała, jak ma uzewnętrznić swoje uczucia. Chciała go zaprosić na kolację, ale powiedział, że jeszcze ma robotę. Wciąż ślęczał nad dokumentami spadkowymi, które wydawały się nie mieć końca.

Jack wyszedł, a zaraz po nim Maggie. Wyglądała jak dziewczynka z tym swoim warkoczem, w białych dżinsach i czerwonym sweterku. Quinn uśmiechał się przez cały dzień, patrząc na nią. Uśmiechnął się i teraz. Uwielbiała żagle, to się czuło, a luksus panujący na wynajętej łodzi wcale jej nie przeszkadzał. Powiedziała, że teraz wprost nie może sobie wyobrazić, jak wspaniały będzie jacht budowany w holenderskiej stoczni. Chciałaby go zobaczyć, choć Quinn stanowczo potwierdził, że nie zamierza zawijać do San Francisco, chyba że przepływałby na południowy Pacyfik. Najpierw jednak planował długie rejsy po morzach Europy i Afryki.

Siedział z kubkiem herbaty i przeglądał magazyn żeglarski, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Przyszła Maggie. Nie zmieniła jeszcze ubrania, tylko jej rozczesane włosy luźno spływały na plecy. Miała niewyraźną minę.

- Nie będę ci przeszkadzać - zapewniła od progu - ale chciałam ci się odwdziaczyć. - Niosła dużą salaterkę i bagietkę pod pachą. - To spaghetti. Twoje ulubione. Zjesz, jak będziesz głodny.

Quinn już był głodny i myślał o kolacji, ale nie chciało mu się wstawać z kanapy. Był bardzo zadowolony, że jedzenie samo do niego przyszło.

- Chyba od dziecka nie czułam się taka szczęśliwa - dodała Maggie. - Dzięki, Quinn, to było bardzo miłe z twojej strony. Nie musiałeś mnie zapraszać, przecież wiesz.

Oboje się uśmiechnęli, myśląc o entuzjzmie Jacka, który pierwszy raz w życiu postawił stopę na pokładzie. Nie mógł odebrać bardziej zachęcającej lekcji. Czuł się na łodzi jak ryba w wodzie. Nie przeszkadzało mu, że buja i że łódź w przechyle niemal dotyka burta lustra wody.

- Widać, że masz to we krwi - pochwalił ją Quinn, niosąc salaterkę do kuchni. Makaron był zmieszany z sosem z bazylii i pomidorów, z dodatkiem salami i pieczarek.

- Nie miałam okazji się wykazać - powiedziała, ale wystarczyły rozmowy z załogą, by rozpoznał w niej żeglarza z krwi i kości. Była podekscytowana jak wszyscy żeglarze, gdy tylko znajdą się na morzu.

- Powtórzymy to. Mam znajomych, którzy trzymają tu łódki - obiecał.

Z salaterki dochodził smakowity aromat. Zaprosił Maggie do stołu.

- Nie zamierzałam się wpraszać - wyjaśniła. - Chciałam tylko podziękować za cudowny dzień. Miałam wielką frajdę.

- Wszyscy mieliśmy. No już, siadaj i zjedz ze mną, a potem zagramy w kości. Co ty na to? Na gwałt potrzebuję gotówki.

Maggie się roześmiała i usiadła za kuchennym stołem. Quinn wyjął talerze. Jedli i rozmawiali o żeglowaniu przez cały wieczór. Zorientowała się, ile to dla niego znaczy. Ożywiał się o wiele bardziej, niż kiedy rozmawiali o interesach, ludziach czy podróżach. Kiedy mówił o Jane, stawał się smutny, a gdy o Alex - spięty. Rozprawiając o łódkach, otwierał się, cieszył, żartował.

Ani się spostrzegli, jak zrobiło się dość późno. Kiedy ostatni raz rzucali kości, minęła dziesiąta. Maggie było głupio, że zabrała Quinnowi tyle czasu. Wzięła umytą salaterkę i skierowała się do domu. Quinn ją odprowadził.

- Dzięki za kolację. I pamiętaj, mam u ciebie dziesięć dolarów.

Tego wieczoru był nie do pobicia, a ona nie miała chęci się odgrywać. Z całą pewnością od śmierci Andrew, a nawet o wiele dawniej, nie czuła się tak dobrze i lekko.

- Masz dziś wieczorem dyżur? - spytał Quinn.

Towarzystwo Maggie, którą traktował trochę jak kochaną siostrę, a trochę jak serdeczną przyjaciółkę, bardzo mu odpowiadało. A gdy tak gadali o żaglach, podjął pewną decyzję. Zamierzał się przekonać, jak się rozwinie sytuacja, i powiedzieć Maggie o tym za tydzień, w następny piątek. Na co dzień nie spotykali się nawet

przypadkiem, bo oboje rzadko wychodzili z domu. Łącznikiem między nimi był Jack. To on przekazywał informacje i pozdrowienia, bo to on bywał na co dzień w obydwu domach.

- Od północy - potwierdziła. - Dzwoni do mnie zawsze ten sam chłopak, czternastolatek, bardzo miły. W zeszłym roku umarła mu mama. Bardzo cierpi. Kiedy z nim rozmawiam, zaczynam tęsknić za szkołą.

Maggie już postanowiła, że wróci we wrześniu do nauczania, i udało jej się załatwić pracę w poprzednim miejscu, przynajmniej na trzy miesiące. Miała zastąpić nauczycielkę, która wybierała się na urlop macierzyński. Potem szkoła obiecała jej coś znaleźć. Na początek dobre i to, tak w każdym razie uważał Quinn.

- Powodzenia - powiedział serdecznie.

Łatwo mu było uznać, że miała dobrą rękę do dzieci. Przy jej otwartości i cieple to nie było trudne. Wyobrażał sobie, że kiedyś, zanim zdarzyła się tragedia i nim ją poznał, musiała być taką kobietą jak dziś. Wspólne piątki nie były zmarnowanym czasem dla nikogo z ich trójki. Nawet dla niego, musiał to przyznać.

- Jeszcze raz dzięki, Quinn - powiedziała i nagle, biorąc się na odwagę, objęła go z całych sił.

Trwało to chwilę, uśmiechnęła się i zniknęła za drzwiami. Wracał do domu, czując na twarzy muśnięcie jej włosów, a w nozdrzach zapach jej perfum. Świeży zapach idealnie pasował do Maggie. Była niczym powiew wiatru. Wdarła się w jego życie na podobieństwo letniej bryzy, rozwiewając smutek, który trapił go od tak dawna. On był dla niej jak lina kotwiczna, której uczepiła się, usiłując się nie pogрузić. Połączył ich Jack. Quinn był bardzo szczęśliwy, że poznał oboje, i już żałował, że za pięć miesięcy będą musieli się pożegnać. Łódź będzie gotowa do spuszczenia na wodę i ich drogi się rozejdą. Z pewnością przy rozstaniu będą silniejsi i bardziej pewni siebie niż przy pierwszym spotkaniu. Mądrzejsi o wiele nowych doświadczeń. Burza, która rozpętała się nad miastem w sylwestra zeszłego roku, okazała się dla trójki przyjaciół błogosławiona.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W następny piątek, gdy jak zwykle jedli razem kolację, Quinn oznajmił wielką nowinę. Otóż na całe lato, aż do września, wynajął od znajomego „Molly B” i zaprasza ich na przejażdżkę w ten weekend.

Jack podziękował, bo już obiecał swojej dziewczynie, że weźmie udział w pikniku, na którym miał poznać jej przyjaciół. Natomiast Maggie nie posiadała się z radości.

- Naprawdę, Quinn? Nie będę ci zawadzać? Nie chciałabym być ci kulą u nogi.

- Nie proponowałbym ci, gdybym sam tego nie chciał, Maggie. W każdym razie wybieram się jutro na morze. Płyniesz ze mną?

To było oczywiste. Cała rozanielona, nie mogła i nie umiała odmówić.

Sobota okazała się idealnym dniem do żeglowania. Spotkali się przed drzwiami domu Maggie, która włożyła gruby biały sweter, dzinsy i te same czerwone tenisówki co poprzednio. Znowu wyglądała jak dziewczynka. Było wietrznie, więc od razu po odcumowaniu nabrali sporej prędkości.

Morze było bardzo wzburzone, co Maggie wcale nie przeszkadzało, przeciwnie. Stewardesa dostała choroby morskiej i posiłkiem musieli zająć się marynarze. Pasażerowie nie zeszli z pokładu, lecz zjedli kanapki z herbatą, wpatrując się w fale. Maggie była rozpromieniona. Po południu wreszcie wyszło słońce. Kolację także zjedli na łodzi. Wracali w świetnych humorach, wypoczęci i zrelaksowani.

- Jesteś przemiły, nie zasługuję na takie traktowanie - poważnie powiedziała Maggie, kiedy znaleźli się w domu.

Już i tak jej życie odmieniła przyjaźń okazana przez Quinna, a teraz otrzymała premię w postaci rejsów na „Molly B”. Nie miała pojęcia, jak mu dziękować, więc powiedziała po prostu o tym, co odczuwała. Zrewanżował jej się, mówiąc, że

doskonale się czuje w jej towarzystwie. Wyjawił, że zamierza pływać także w niedzielę i znów ją zaprosił.

- Nie mogę się zgodzić, to nadużywanie twojej gościnności. - Popatrzyła mu prosto w oczy, a Quinn się roześmiał. Towarzystwo Maggie i Jacka działało na niego ożywczo, ciągle miał ochotę do żartów, jakby został uwolniony od codziennego brzemienia.

- Co ty wygadujesz? Przecież mogę korzystać z łodzi w tygodniu. Już nawet myślałem, żeby wypłynąć trochę dalej. W niedzielę nie chciałbym być sam. Nudzisz się w moim towarzystwie? - Na takie dictum Maggie nie mogła odmówić.

W niedzielę pogoda była piękna, a wiatr złagodniał. Przybili do zatoczki na wyspie Angel i opalali się na pokładzie. Przewidująco zabrali kostiumy. Gdy wracali do domu późnym wieczorem, Maggie miała wrażenie, że znają się od zawsze. Po drodze Quinn opowiadał jej o dedykowanych sobie wierszach Jane, które znalazł dopiero po jej śmierci. W jego głosie nie było goryczy, raczej duma, co Maggie uznała za oznakę powrotu do równowagi.

- To zadziwiające, że czasami nam się zdaje, iż kogoś dobrze znamy, a potem się okazuje, że nie mamy pojęcia, kim on jest - rzekł z zadumą.

Maggie spojrzała na Quinna, uśmiechnęła się i westchnęła.

- Przeżyłam podobne doświadczenie z Charlesem, tyle że moje rozczarowanie nie należało do przyjemnych. Po tym, jak mnie zostawił, zrobiłam rachunek sumienia. Wiesz, jak to jest - jesteś z kimś osiemnaście lat, a potem wychodzi na to, że go nie znasz. Dziwne uczucie, dość wstrętne w gruncie rzeczy. Myślę, że Charles mnie znienawidził, kiedy Andrew się zabił. Musiał znaleźć winnego, a ja byłam pod ręką.

Quinn mógł się tylko domyślać, jaką traumę przeżyła Maggie, kiedy ten mężczyzna opuścił ją po śmierci tamtego. Podwójną traumę. Dostrzegł rozpacz w jej spojrzeniu wtedy, kiedy się pierwszy raz spotkali, ale wtedy oczywiście nie wiedział, że poprzedniego dnia otrzymała papiery rozwodowe. Była na to przygotowana, a mimo wszystko... Mąż zastosował nokaut, po którym długo nie

umiała się podnieść. Na szczęście stopniowo wracała do normalności. Nie bez udziału przyjaźni Quinna i Jacka, ale Quinn był oczywiście najważniejszy. Jack odegrał rolę pośrednika. Maggie dostarczała Quinnowi o wiele więcej radości swą obecnością, niż mógł przypuszczać. Podziwiał jej pogodną naturę, energię, inteligencję i poczucie humoru, a także przejawiającą się od czasu do czasu głęboką życiową mądrość.

Ale to, co w niej cenił najbardziej, to były wrażliwość i empatia, dzięki czemu we trójkę z Jackiem potrafili porozumiewać się bez słów. Quinn i Jack potrzebowali jej matczynej wyrozumiałości, bo bezwiednie za nią tęsknili. Była jak Wendy z *Piotrusia Pana* dla dwóch Zagubionych Chłopców, którymi obaj czuli się przed pierwszym wspólnym spotkaniem. Teraz wszyscy troje odzyskiwali życiową siłę i pełnię osobowości.

Jack relacjonował Maggie na bieżąco, co w tygodniu robi Quinn, który wypłynął na dwa dni na wólcę po zatokach. Wrócił na piątek w bardzo dobrym nastroju. Opowiadał o rejsie i o postępach w budowie łodzi. Wszystko szło zgodnie z planem i Maggie dzieliła jego radość, choć w głębi serca było jej przykro, że ich idylla wkrótce się skończy. Pozostanie jej Jack, który dość poważnie zaangażował się w swój związek, i Maggie była pewna, że po pewnym czasie nie znajdzie już dla niej miejsca w swym nowym życiu. Był to proces tak naturalny jak dorastanie, a mimo wszystko żałowała, że miłe, spokojne chwile ich przyjaźni przeminą bezpowrotnie.

Podczas weekendu znów pływała z Quinnem na „Molly B”, a kiedy żegnali się w niedzielę wieczorem, zaprosił ją na rejs w środku tygodnia. Pośrednik nieruchomości rozpoczął prezentowanie jego domu klientom. Quinn nie chciał w tym uczestniczyć. Trudno było uwierzyć, że to dopiero początek maja. Maggie nie miała nic do roboty, więc się zgodziła. Zresztą, jak mogła odmówić sobie przyjemności żeglowania, skoro cieszyła ją każda minuta spędzona na łodzi?

Załoga „Molly B” była dyskretna i nie narzucała się ze swoją obecnością, chyba że Quinn lub Maggie przejawiali ochotę na pogawędkę. Po obiedzie, gdy



żeglowali blisko brzegu, Maggie ułożyła się na pokładzie w pobliżu Quinna i zdrzemnęła się. Gdy się ocknęła, zauważyła, że on też śpi, tuż obok. Obróciła się i spojrzała mu prosto w twarz. Uśmiechnęła się do własnych myśli. Tak dawno nie spała u boku mężczyzny, nawet przyjaciela.

- Z czego się śmiejesz? - Nagle usłyszała jego cichy głos.

- Skąd wiesz? Przecież masz zamknięte oczy - szepnęła.

Miała ochotę się do niego przytulić, ale obawiała się, że źle by to odebrał.

Potrzebowała bliskości i ciepła. Od tak dawna do nikogo się nie zbliżyła. Bliskość Quinna przyjemnie ją podniecała.

- Ja wszystko wiem - odparł tonem starego mędrca. Otworzył oczy i spojrzał na Maggie. Leżeli blisko dziobu na wygodnych materacach, w słońcu. Załoga była na mostku albo na rufie, więc mogli cieszyć się intymnością. - O czym myślałaś, kiedy się uśmiechałaś? - spytał prowokacyjnie, przekręcając się na bok, z łokciem pod głową. Czowała się, jakby byli razem w łóżku, choć w ubraniach.

- Uśmiechałam się, bo... Bo byłeś taki dla mnie dobry... Bo tak lubię z tobą tutaj być, Quinn... No i będę bardzo za tobą tęsknić, jak już wyjedziesz na zawsze.

- Nawet nie zauważysz. Przecież rozpocznie się szkoła - powiedział i zamilkł. Leżeli, patrząc sobie w oczy, w zacisznej kryjówce pod żaglami. - Też będę tęsknił - wyznał nagle, zaskoczony własną szczerością.

- Chcesz płynąć sam? - spytała Maggie, nieświadomie przysuwając się bliżej. Obojgu wydawało się naturalne, że tak będzie wygodniej rozmawiać.

- Tak. Muszę być sam - odparł. - Tu nic mnie już nie trzyma. Nie mam swojego miejsca. Zostałem wyrwany z korzeniami, jak nasze drzewa zeszłej zimy. Powaliło mnie i teraz dryfuję w stronę morza.

Maggie coraz bardziej było go żal. Miała ochotę wziąć go za rękę, pocieszyć, ale obawiała się, że źle to zrozumie. Nie miała żadnych praw do tego mężczyzny. Mogła go co najwyżej odprowadzić na samolot i pomachać mu na pożegnanie. Ich wspólny czas był dokładnie określony i dobiegał końca.

- Podobne odczucie towarzyszyło mi w małżeństwie - mówił dalej Quinn. - Przyjeżdżałem i wyjeżdżałem, ale nie miałem poczucia przynależności do miejsca. Zawsze chciałem być wolny. Moja rodzina zapłaciła za to wysoką cenę, ale ja nie umiałem postępować inaczej. Jane na pewno mnie rozumiała, chociaż działa się jej krzywda. - To akurat Quinn wyczytał ze znalezionych po śmierci żony wierszy. - Nie znośmę chodzić na smyczy.

- A gdybyś nie miał smyczy? - spytała z namysłem Maggie.

- Pożeglowałbym, dokąd bym chciał, a potem pewnie bym wrócił. Jak ta butelka z listem - zażartował, znów czując woń jej perfum i ciepło jej ciała, tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

- A co by było w tym liście?

Quinn przyciągnął Maggie bliżej, choć nadal leżeli obok siebie na wznak, wpatrując się w niebo i w żagle. Nagle poczuli się tak, jakby byli zupełnie sami na świecie. I nikt inny nie był im potrzebny.

- Co by było w tym liście? - odparł pytaniem Quinn. - Wiadomość brzmiałaby, że... że nie umiem być inny niż jestem, choćbym chciał... I że cię uwielbiam, ale muszę być wolny, bo inaczej umrę jak ryba bez wody. I że potrzebuję morza i powietrza, i linii horyzontu z zachodzącym słońcem i niczym więcej. Tego w tej chwili potrzebuję, Maggie. Powietrza, otwartej przestrzeni. Może tylko tego mi było potrzeba do życia, ale się oszukiwałem, że muszę żyć jak inni. Teraz będę uczciwy.

- Po dłuższej chwili spojrzął na Maggie, której głowa spoczywała na jego ramieniu.

- Widziałaś kiedyś zielony błysk, kiedy słońce chowa się do morza? Trwa ułamek sekundy i trzeba wyczuć właściwy moment, żeby go zobaczyć. To cudowny moment, ale jak tylko mrugniesz, to go przepuścisz. Tego mi teraz potrzeba, tego zielonego błysku przed wieczorem. Będę go szukał na morzu...

- A może ten błysk masz w sobie, nie pomyślałeś o tym? Może nie musisz płynąć aż na koniec świata, żeby go odnaleźć? - zapytała, choć wiedziała, że u niego jest to podróż „od” a nie „do”. Wiedziała także, że Quinn musi odkryć tę prawdę, bo nikomu nie uwierzy.

Po śmierci Andrew Maggie biła się z myślami, zastanawiając się, czy można było odmienić bieg rzeczy, powstrzymać syna, ocalić go. I czy Charles miał rację, obarczając ją całą odpowiedzialnością. Wreszcie zrozumiała, że w tej sprawie nie mogła zrobić nic ponad to, co zrobiła. Odkrywała prawdę krok po kroku, poprzez rozmowy z ludźmi takimi jak Quinn, dzięki kontaktom telefonicznym z młodzieżą, na skutek nocnych rozmyślań. Prawda objawiała się i przez modlitwę, i przez przepłakane noce. A kiedy wreszcie w pełni do niej dotarła,

Maggie odzyskała spokój. Nie mogła uratować syna, bo on sam tego nie chciał. Nie mogła wpłynąć na jego życie. Wszystko, co mogła teraz zrobić, to zaakceptować fakt, że odszedł z własnej woli. A jeśli ktoś ukochany aż tak bardzo nie chce z nami być, nie należy go więzić, lecz pozwolić mu na wolny wybór. Dla Maggie to był zielony błysk; wierzyła, że Quinn kiedyś też osiągnie ten stan. Wciąż dręczył się tym, na co nie miał wpływu i czemu nie był winien. A póki nie zaakceptuje faktu, że zło się dokonało, i nie pogodzi się z tym, będzie uciekał na koniec świata. Zamiast tego powinien zatrzymać się i pomyśleć, ale takiej rady trudno było mu w jego stanie ducha udzielić. Quinn musi dojść do tego wniosku sam. Dopóki tego nie zrobi, dopóty się nie wyzwoli, niezależnie od tego, jak daleko popłynie.

Maggie popatrzyła mu w oczy i zawarła w tym spojrzeniu wszystkie swoje myśli i uczucia, łącznie z bezmierną wdzięcznością za to, co dla niej zrobił. Quinn pochylił się i pocałował Maggie. Zdawało się, że na wieczność zatracili się w pocałunku. Każde z nich pod powiekami miało własny zielony błysk. W tej długiej chwili ich dwa osobne światy zlały się w jeden i to był piękny moment, który oboje chcieliby zatrzymać jak najdłużej. Quinn pierwszy otworzył oczy i spojrzał na Maggie. Pragnął jej, ale musiał postępować uczciwie, by nie wydłużać łańcucha krzywd.

- Nie wiem, co powiedzieć - zaczął, a ona kiwnęła głową, bo już wiedziała. Poznała go wystarczająco dobrze przez minione miesiące. - Jestem człowiekiem bez przeszłości i bez przyszłości. Mogę dać ci tylko to, co jest teraz. Moja przeszłość

jest beznadziejna, a przyszłość nie istnieje, nawet w planach, i nie z tobą. Jeśli chcesz, to weź mnie teraz, zanim odjadę. Chcesz tego?

Quinn zarazem pragnął Maggie i obawiał się bliskości. Patrząc na jej twarz, widział także twarz Jane, pełną bólu i rozczarowania. Wiedział, że choćby kochał ją najbardziej na świecie, zasługiwała na więcej, niż mógł jej zaoferować. Mimo wszystko Maggie była inna niż Jane i może dlatego, zanim odjedzie, mogłaby dzielić z nim te resztki uczuć, jakie w nim pozostały.

- To mi wystarczy, Quinn... Płyniemy na tej samej łodzi - powiedziała.

Tak, przeszłość była bolesna, przyszłość niepewna, więc wszystko, co mieli, to czas teraźniejszy, który mogli wykorzystać z całym dobrodziejstwem inwentarza. Każde z nich osobno odebrało od życia gorzką lekcję i nie chciało więcej cierpieć.

- Wyjeżdżam we wrześniu, cokolwiek by między nami zaszło. Zgadzasz się na to? - spytał poważnie, a ona równie zdecydowanie przytaknęła.

- Tak - szepnęła, świadoma, że niezależnie od tego, jak bardzo będzie kochała Quinna, będzie musiała pozwolić mu odejść. To był sens jej miłości, była tego absolutnie pewna. Kochać Quinna znaczyło nigdy go nie zatrzymywać.

Odetchnął z ulgą, a Maggie przytuliła się do niego całym ciałem. Leżeli, milcząc, znów wpatrzeni w żagle nad głową. Słowa były niepotrzebne. Mieli w tej chwili wszystko, co im było potrzebne do szczęścia. Wzajemną bliskość i niebieskie niebo nad białymi żaglami.

## *ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY*

Gdy trójka przyjaciół znów się spotkała, Jack wyczuł, że coś się zmieniło, ale nie potrafił odgadnąć przyczyny. Quinn wydał mu się niezwykle - jak na siebie - pogodny i zrelaksowany. Maggie zjawiała się na kolacji z rozpuszczonymi włosami. Minioną noc spędzili razem na pokładzie „Molly B”.

Po kolacji grali w kości i przeważnie Quinn wygrywał. Jack wyszedł koło dwunastej, a Maggie zaraz po nim. Następnego ranka wybierali się na łódź. Quinn nie mógł sobie wyobrazić wprowadzenia innej kobiety do sypialni, którą dzielił z Jane. „Molly B” była idealnym miejscem dla ich romansu i tu czuli się najlepiej. Oboje zaskoczył wybuch gwałtownej namiętności. Od lat Quinn nie czuł się tak przyjemnie podniecony. Wyznał Maggie, że przeżywa z nią drugą młodość. Również dla niej to uczucie było czymś oszałamiającym i niezwykłym. Miłość przyniosła im ukojenie, pozwoliła także na związek dusz. Kiedyś Maggie nie byłaby zdolna do takiego przeżywania bliskości z mężczyzną. Bliskości, która leczyła ich oboje.

Dopiero po miesiącu Jack zorientował się, co ich łączy, kiedy stanęli zbyt blisko siebie w kuchni podczas przygotowywania posiłku. Miał sobie za złe, że tyle czasu był ślepy i nie zauważył różnych sygnałów. Ale dopiero po kilku dniach zebrał się na odwagę i zagadnął Quinna.

- Czyżbym coś przeoczył? - odezwał się nieśmiało, nie wiedząc, jak powinien sformułować pytanie. Poza tym, to Quinn tutaj rządził. Z właściwą sobie bystrością zorientował się, o co chodzi.

- A co? - odparł Quinn z uśmiechem. Był bardzo zadowolony z postępów Jacka.

- No, ty i Maggie? Dobrze myślę?

- Dobrze. - Quinn znów się uśmiechnął i podał Jackowi kieliszek wina.

Dopiero co skończyli lekcję polegającą na doskonaleniu umiejętności Jacka. Czytali wspólnie Roberta Frosta, Szekspira i innych poetów, których kochała Jane. Jack był

złakniony literatury jak nowo odkrytego przysmaku. - Sam nie wiem, co między nami jest, ale dobrze nam z tym.

Quinn był zachwycony tym, że Maggie tak dobrze go rozumie, że pozwala mu być sobą, a jednocześnie nie traci godności. Ułożyło się zupełnie inaczej niż z Jane. Maggie nie musiała dokonywać tylu poświęceń i wyrzeczeń, więc Quinn nie miał przy niej poczucia winy. Wiele w życiu straciła i teraz umiała cieszyć się z drobnych rzeczy. Była dla niego czuła i kochająca, ale zachowała niezależność i sama odpowiadała za własne życie. Kochała go i była szczera w okazywaniu uczuć, a tego właśnie potrzebował. Już nigdy więcej nie chciał ani zranić, ani rozczarować kobiety, jak to było z Jane.

- Kochasz ją? - spytał Jack.

Był zachwycony, bo widział szczęście przyjaciół. Mieli to wypisane na twarzach, a Maggie w ciągu ostatniego miesiąca rozkwitła niczym słonecznik w słońcu.

- Nie jestem pewien, czy jeszcze znam znaczenie tego słowa - odparł z namysłem Quinn. - Miłość przeszywa nam serce jak zatruta strzała, a potem sami zatruwamy partnera. Takiej miłości na pewno bym nie chciał - dodał. Rok wystarczył, by w pełni zrozumiał krzywdy wyrządzone Jane. Ona mu wybaczyła, on sobie nie. - W imię miłości popełnia się największe zbrodnie, jak podczas wojen religijnych. Nic okropniejszego nie przychodzi mi na myśl.

- Niesłusznie się obwiniasz - powiedział z przekonaniem Jack. Znał wartość Quinna.

- Muszę, Jack. Jeśli nie będę surowo siebie sądził, znów mogę być niedobry dla innych. A tego nie chcę, za nic nie skrzywdzę Maggie. Dość się wycierpiała. - Za słowami Quinna kryła się miłość, ale nie chciał się do tego przyznać nawet przed sobą.

- Zabierzesz ją we wrześniu? - spytał Jack z nadzieją. Uważał, że ci wspaniali ludzie po przejściach zasługują na trochę szczęścia.

- Nie - bez wahania odparł Quinn. Takie było od początku jego założenie, a Maggie się na to zgodziła. - Żyjemy chwilą i nie ma powodu, żeby chcieć więcej. Nie planujemy przyszłości.

Jackowi zrobiło się przykro, ale pomyślał, że jeszcze wszystko może się zmienić. Przy pierwszej okazji dał Maggie do zrozumienia, że wie o niej i o Quinnie. Ucałowała go bez słowa i nie rozmawiali o tym więcej. Była jednak zadowolona, że wreszcie się domyślił. Chciała podzielić się z nim swoim szczęściem, ale nie wiedziała, jak to zrobić. No bo przecież nie plotkując na temat Quinna.

W kolejnym tygodniu wypadała rocznica śmierci Jane. Quinn ciężko to przeżył. Maggie przeszła to z Andrew, więc świetnie go rozumiała. Z trudem w Dzień Matki trzymała nerwy na wodzy. Rano zostawiła go samego, po południu poszli na spacer, a noc spędzili na jachcie. Następnego ranka poczuł się o wiele lepiej.

Tego samego dnia los zesłał kupca na dom. Zapłacił tyle, ile Quinn chciał. Nowi właściciele zgodzili się zaczekać z przeprowadzką do końca września. Pasowało to idealnie do planów Quinna. Dopiero teraz dotarło do Maggie, że niebawem zniknie on z jej życia. Pozostawało robić dobrą minę do złej gry.

Pod koniec czerwca poprosił, by poleciała z nim do Holandii, żeby obejrzeć łódź. Na wiosnę trzy czy cztery razy był w stoczni, ale teraz bardzo chciał pokazać jacht Maggie. Kupił bilety na samolot. Wahala się, bo taka eskapada była zbyt kosztowna, ale Quinn ubłagał ją, żeby potraktowała to jako prezent. Nocą polecili do Londynu, a stamtąd do Amsterdamu, gdzie Quinn zamówił piękny apartament w Amstelu. Maggie nie mogła doczekać się; chciała zobaczyć łódź po wielomiesięcznym studiowaniu projektów. Quinn z kolei traktował ten wypad jak pierwszą wizytę w swoim nowym domu.

Od poczęli przez kilka godzin i po lunchu pojechali do stoczni. Był piękny słoneczny dzień, prawdziwa rzadkość w Amsterdamie. Na widok jachtu Maggie

zaparło dech w piersi. Miała łzy w oczach. Była wzruszona, że może dzielić tę chwilę z Quinnem, bo uroda i klasa jachtu przechodziły wszelkie wyobrażenie.

- Quinn, to prawdziwe cudo! - wykrzyknęła.

Łódź oglądana w suchym doku z perspektywy stępki wyglądała raczej na statek pasażerski niż na jacht. Była ogromna. Korzystając z podnośników hydraulicznych, dostali się na pokład. Maggie była zaskoczona, że prace w kabinach są już na ukończeniu. Zrobiło jej się smutno, że Quinn niedługo odjedzie. Ale trwało to tylko chwilę; zaraz potem znów cieszyła się z Quinnem i podziwiała jego pomysły. Bardzo chciał zaimponować Maggie, ale nie przypuszczał, że będzie zachwycona. Oboje byli zwyczajnie szczęśliwi.

Całe popołudnie spędzili w doku w towarzystwie Tema Hakera i jego synów, wprowadzając ostatnie poprawki i ulepszenia. Wieczorem zjedli kolację w hotelu i skoro świt znów pojechali do stoczni. Maggie zerwała się radosna jak skowronek. Była dumna, że Quinn wszystko jej pokazuje - był to jego męski sposób na okazanie, jak dużo dla niego znaczy. W milczeniu przyglądała się, jak instruuje budowniczych, i nie mogła uwierzyć, że podjął się tak ogromnego dzieła i je dokończył.

Salon, podobnie jak kabiny, był wyłożony drewnem, a prywatny apartament Quinna przypominał pałac. Wszystkie łazienki wykończono we włoskim marmurze, a pokłady były z tekowego drewna. Kadłub i ożaglowanie miały mieć kolory granatowy i srebrny. Quinn wymyślał dziesiątki nazw, ale w końcu zdecydował się na „Vol de Nuit” - „Nocny lot” na cześć książki Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, ulubionej lektury z młodości. Nazwa pasowała zarówno do smukłej sylwetki statku, jak i jego przeznaczenia.

Maggie z łatwością wyobrażała sobie Quinna nocą na pokładzie, jak żegluje z jednego egzotycznego portu do drugiego, podobnie jak samotny pilot przelatujący między gwiazdami nad pustynią, tak blisko Boga. Nawet barwy łodzi pasowały do jej nazwy - granat jak niebo i srebro jak gwiazdy.



Po pożegnaniu budowniczych, którzy nie mieli już więcej pytań, Quinn i Maggie zabrali rzeczy z hotelu i pojechali na lotnisko. Chcieli spędzić następny dzień w Paryżu, ale się rozmyślili. Maggie stwierdziła, że spotkanie z łodzią to dla niej i tak aż za wiele wrażeń. W Paryżu przesiadli się więc na samolot do San Francisco, gdzie - z uwagi na różnicę czasu - mieli wylądować o północy. Cała podróż, choć względnie krótka, była bardzo intensywna i pełna wrażeń. Gdy Maggie usiadła w fotelu, uśmiechnęła się i pocałowała Quinna.

- Za co? - spytał, mile połączony.

Była wspaniałym towarzyszem.

- Za to, że zabrałeś mnie i pokazałeś swoje dziecko - odparła, najwyraźniej szczęśliwa. - Nie spodziewałam się, że łódź jest aż tak piękna.

Maggie widziała nawet próbki obić, pościeli, porcelany, szkła i srebra. Wszystko wytworne i dobrane niezwykle starannie. Gust Quinna znacznie przewyższał gust Boba Ramsaya. Był bez zarzutu.

- Dzięki, że się ze mną wybrałaś - szczerze odrzekł Quinn.

Była jedyną znaną mu kobietą, która przejawiała równą jemu pasję do żeglowania. I potrafiła w pełni docenić wyjątkowość jego łodzi. „Vol de Nuit” miał być jachtem, którego widoku nikt nie zdoła zapomnieć.

Quinn pragnąłby dzielić radość z jego posiadania z Jane, choć w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że jej nie sprawiłoby to nawet w połowie takiej przyjemności jak Maggie. Nigdy nie interesowała się żeglarstwem. Zapewne gdyby żyła, Quinn nie zdecydowałby się na kupno „Vol de Nuit”. Od śmierci Douga miała obsesję na punkcie sportów wodnych, których nigdy nie lubiła. Trzeba się z tym urodzić, żeby je kochać. To rzadki dar, a zarazem pasja. A Maggie, podobnie jak Quinn, od zawsze miała je we krwi.

Wybrali sobie filmy do oglądania i zamówili kolację. Trochę pogadali, a potem Maggie rozłożyła siedzenie i oglądała wideo, póki nie zmorzył jej sen. Quinn z czułością okrył ją kocem. Była to zwariowana i męcząca wycieczka, ale dzięki niej zdołał poznać Maggie jeszcze lepiej. Nie tylko jej bystry umysł i znajomość tematu.

Zrozumiał, że ma szlachetną duszę, że wiele potrafi dla niego zrobić. Zdobyła się na bezinteresowny podziw, wiedząc, że on odpłynie na łodzi sam. Oddała rywalce hołd, gotowa się usunąć we właściwym momencie. Tej cechy Quinn nie napotkał dotąd u żadnej kobiety, nawet u Jane. W tym momencie pojął, jak głęboko kocha Maggie.

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

Samolot się spóźnił, przyleciał do San Francisco o pierwszej. Maggie przespała cały lot i gdy Quinn ją obudził, wręczając wypełnioną kartę pokładową, czuła się całkiem rześko. Niechętnie wracała do domu. Żałowała teraz, że nie spędzili nocy w Paryżu. Ostatnie dni były niczym piękny sen. Wiedziała jednak, że Quinn ma mnóstwo zajęć. Musiał opróżnić dom i zamknąć sprawy spadkowe po Jane, co wcale nie było łatwe. Maggie знаła napięty grafik Quinna i tym bardziej była mu wdzięczna, że zabrał ją ze sobą do Holandii.

O tej nocnej godzinie przeszli przez kontrolę celną w mgnieniu oka i zaraz złapali taksówkę do miasta. Nie było żadnego powodu, by wracali od razu do domu, żadne z nich nie miało na to ochoty. Quinn chciał leżeć u boku Maggie, a było to z wiadomych powodów możliwe tylko w jednym miejscu.

- Pojedziemy na „Molly B”? - zapytał, obejmując ją ramieniem.

Maggie kiwnęła głową. Ona także nie chciała spędzać samotnie reszty nocy. Przyzwyczała się do bliskości Quinna i czuła się samotnie, gdy oddzielnie nocowali w swoich domach. Powinna jednak przyzwyczajać się do myśli, że idylla niedługo się skończy. Niezależnie od tego, jak dobrze było im razem i w łóżku, i poza nim, Quinn nieodwołalnie odjedzie.

- Z rozkoszą - mruknęła w odpowiedzi. Było jasne, że ich cudowne miesiące wspólnie spędzone na pokładzie „Molly B” będzie wspominać przez całe życie.

- Rano możemy trochę popływać. Jestem umówiony z adwokatem dopiero koło piątej po południu.

Łódź była zamknięta na cztery spusty, ale Quinn miał przy sobie klucze i dekoder alarmu. Załoga spała. Bosman, który pełnił wachtę, pomógł im zanieść bagaże do kabiny. zaproponował, że zrobi coś do jedzenia, ale nie byli głodni. Po prysznicu położyli się do łóżka, Maggie wtuliła się w Quinna.

- Jeszcze raz dziękuję za tę bajeczną podróż - wyszeptała. - Ty i „Vol de Nuit” idealnie do siebie pasujecie.

Quinn chciał powiedzieć Maggie, jak bardzo ujęła go jej wielkoduszność, ale zrezygnował. Nie potrafił znaleźć właściwych słów. Kochał ją, co nie zmieniało jednak jego sytuacji, a wolał nie wzbudzać w Maggie nadziei. Bał się wyznać jej miłość, by przypadkiem nie pomyślała, że z tego powodu z nią zostanie albo wróci do niej, czego nie mógł i nie chciał zrobić. Czuł, że winien jest Jane daninę ze swojej samotności, z podróży w izolacji od świata. Po tylu błędach, jakich dopuścił się w dojrzałym życiu, nie zasługiwał na to, by na starość dostać w nagrodę Maggie. Była dość młoda, by znaleźć innego partnera, rozpocząć wszystko od nowa i zapomnieć o nim.

Nigdy nie mówił o tym głośno, ale niepokoiła go dwudziestoletnia różnica wieku między nimi. Na dobrą sprawę Maggie mogłaby być jego córką, jakkolwiek absurdalnie by to brzmiało. Nie odczuwał różnicy wieku, ale faktem było, że swoje przeżył: miał dzieci, karierę, małżeństwo, a teraz powinna czekać go pokuta za grzechy. Stały związek z kobietą o tyle młodszą i włóczenie jej ze sobą po całym świecie wydawało mu się czynem równie samolubnym jak małżeństwo z Jane. Właśnie egocentryzmu nie umiała mu wybaczyć dorosła córka. Uważał, że dobrze robi, opuszczając Maggie. Niech będzie wolna, on nie będzie niczego obiecywał. Raczej byłby skłonny namawiać Maggie, by o wszystkim zapomniała. Dlatego choć myślał tylko o niej, a przy sobie czuł ciepło jej ciała, od którego miękło serce, nie wyrzekł ani słowa.

Następnego dnia, gdy Maggie otworzyła oczy, Quinn już był na nogach. Wyłynął z portu o ósmej. Wstał piękny, słoneczny sierpniowy dzień. Maggie z trudem sobie uprzytomniła, że zaledwie wczoraj była w Amsterdamie. Uśmiechnęła

się do siebie, wspominając miłe chwile, i w szlafroku dołączyła do Quinna na pokładzie.

- Która to godzina? I gdzie ja jestem? - Zmrużyła oczy od słońca.

Potargane włosy opadły na plecy; Quinnowi taka się właśnie najbardziej podobała. W tej chwili wyglądała niewiele starszej niż jego córka. Różnica wieku między Alex a Maggie wynosiła osiem lat, lecz jeśli chodzi o życiową dojrzałość, to Maggie miała jej aż w nadmiarze, tyle już przeszła. Była też o wiele bardziej mądra i wyrozumiała niż Alex, niestety.

- Jest dziesiąta, zatoka San Francisco. Przed panią widok na Golden Gate, a ja nazywam się Quinn Thompson.

- Witam pana. Maggie Dartman - podjęła grę. - Czy przypadkiem nie spotkaliśmy się w Amsterdamie? To pan jest właścicielem tego pięknego jachtu „Vol de Nuit”. A może mi się to wszystko przyśniło?

- Na pewno się pani przyśniło - upewnił ją.

W tym momencie przyszła stewardesa, by odebrać zamówienie na śniadanie. Maggie uśmiechnęła się. Jak ten Quinn ją rozpieszczał.

- I pomyśleć, że do tej pory na śniadanie zadowalałam się zeszlými parówkami - powiedziała.

- Nie zapraszaj mnie na śniadanie, tylko zawsze na kolacje. - Quinn odwzajemnił uśmiech.

- Słuszna decyzja - stwierdziła, pociągając pierwszy łyk doskonałego cappuccino.

Załoga „Molly B” była bez zarzutu. Maggie przewidywała, że trudno będzie jej powrócić do codziennego życia po odjeździe Quinna. Oczywiście nie głównie ze względu na jakość posiłków na jachcie.

Quinn zaczął już angażować załogę na „Vol de Nuit”. Zatrudnił Włocha, dwóch Francuzów i siedmiu Anglików, w tym Seana Mackenzie, dawnego kapitana na „Victory” Johna Barclaya po tym, jak w kwietniu otrzymał od niego list. Kapitan

od początku interesował się postęпами w budowie „Vol de Nuit”. We wrześniu wraz z resztą załogi miał przyjechać do Amsterdamu.

Maggie aż do końca rejsu siedziała z Quinnem w sterówce „Molly B”. Zeszli na ląd o trzeciej, żeby Quinn miał czas zdążyć na spotkanie z adwokatem, ale umówili się, że na noc znów wrócą na łódź. Zarówno Quinn, jak i jacht stali się dla Maggie niebezpiecznym nałogiem. Im więcej czasu spędzała z Quinnem, tym bardziej się od niego uzależniała. A tymczasem miał wyjechać w październiku, wracając do San Francisco tylko raz, po odbyciu próbnego rejsu. Nie pozwalała sobie o tym myśleć. Skoro obiecała, że wypuści go bez słowa, zamierzała tego dotrzymać bez względu na to, ile bólu miało to ją kosztować. Był dla niej nieoczekiwanym darem z nieba. Mogła być za to tylko wdzięczna, nawet kiedy go przy niej zabraknie. Być może jej życiowym przeznaczeniem było tracić wszystko, co kocha, i płacić najwyższą cenę za niespełnioną do końca miłość.

- Dobrze się czujesz? - Z zadumy wyrwał ją głos Quinna, kiedy jechali do miasta samochodem jednego z marynarzy. Skinęła głową. - Jesteś taka milcząca. - Wyczuwał zmianę w jej nastroju, ale Maggie nie zamierzała dzielić się z nimi ponurymi myślami.

- To ten szok po podróży - odparła lekko. - A ty?

- Ze mną wszystko w porządku. - Quinn ciągle czuł zastrzyk adrenaliny, jaki dała mu wizyta w stoczni i na pokładzie „Vol de Nuit”. - Tylko ten adwokat jakoś mi dzisiaj nie pasuje. Wracam do domu około siódmej.

Zostawili bagaże na jachcie, więc nie mieli co pakować czy przepakowywać. Maggie pozostawało tylko czekać. To leniwe życie się zmieni, kiedy we wrześniu powróci do szkoły, pomyślała.

Quinn zastał w domu Jacka, który z ponurym wyrazem twarzy wyglądał ostatnie deski w kuchni.

- Co jest? - zdenerwował się Quinn, bo Jack wyglądał okropnie.

- Skończyłem.

- Co skończyłeś? - Quinn rozglądał się za aktówką, którą miał zabrać na spotkanie.

- Wszystko.

- Wszystko? - spytał z niedowierzaniem.

Celowo obaj przeciągali prace, jak długo się dało, co trwało już dobre pół roku. W tym czasie osiągnęli niezłe wyniki. Dom wyglądał świetnie, a Jack czytał płynnie.

- No, robota zrobiona - potwierdził Jack. - Skończyliśmy.

- Nie - zaprotestował Quinn, patrząc na mężczyznę, który stał mu się bliski jak syn, a na pewno jak przyjaciel. - Ty skończyłeś robotę, nie ja. Nie zapominaj o tym. To twoje dzieło. - Podeszedł i potrząsnął dłonią Jacka. - Musimy to uczcić.

- Mogę do ciebie przychodzić w piątki, jak zwykle? - Jackowi trudno było sobie wyobrazić, że skończą się codzienne posiedzenia z Quinnem.

- Mam lepszy pomysł. Przyjedź jutro rano na śniadanie - zaczął Quinn, ale nagle przypomniał sobie, że rano będzie z Maggie na jachcie. - Przepraszam cię, ale chciałem popływać. Przyjedź do portu w piątek, zrobimy wieczór na łodzi.

- Czy mogę zabrać Michelle? - Jack spotykał się z tą dziewczyną od miesięcy i sprawa wyglądała na poważną, choć Quinn żywił nadzieję, że to tylko przelotna fascynacja. Miał co do Jacka zupełnie inne plany.

- Oczywiście. Czy ona wie o naszym specjalnym projekcie?

- Masz na myśli czytanie? Powiedziałem jej, chociaż się bałem, że mnie odrzuci. Ale ona uznała, że to fantastyczne.

- No to już ją lubię - powiedział Quinn, który dotąd nie widział Michelle.

- Jak było w Amsterdamie?

- Świetnie. Robota pali im się w rękach, łódź jest jak marzenie. - Quinn zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Zabrałem ze sobą Maggie.

- Tak podejrzewałem. Nie widziałem jej od tygodnia. - Mężczyźni wymienili spojrzenia. Quinn zrozumiał nieme pytanie Jacka i potrząsnął głową.

- Nic się nie zmieniło. Ona to akceptuje. Wie, że muszę wyjechać.

- Takie rzeczy nie zdarzają się co dzień, Quinn - powiedział Jack. Uznał, że teraz on ma prawo dać lekcję człowiekowi, który tak wiele go nauczył. - Cokolwiek zamierzasz, postaraj się jej nie stracić.

- Nigdy do mnie nie należała ani ja do niej - odparł Quinn. - Ludzie w ogóle nie mogą „należeć” do innych ludzi. - On sam nigdy nie należał do Jane, choć może i tak, ale dopiero po jej śmierci. Żonę odkrył dla siebie dopiero wtedy. Co do Maggie, był gotów odejść w każdej chwili, nie zabierając niczego prócz wspomnień. Był święcie przekonany, że niczego więcej mu nie potrzeba. - Jestem za stary na romanse - dodał. - Nie zamierzam trzymać się babskiej spódnicy i Maggie to rozumie.

- Myślę, że tracisz coś bardzo ważnego - powiedział ze smutkiem Jack.

Gdyby Maggie go w tej chwili słyszała, popłakałaby się ze wzruszenia.

- Uważam, że wręcz przeciwnie. - Quinn uśmiechnął się i wziął aktówkę. - Do piątku.

Piątek wypadł za dwa dni i Quinn już się cieszył na to spotkanie, tak jak na następne. Nie zamierzał rezygnować z kolacji we troje, a gdyby Jack chciał przychodzić z Michelle, to i we czworo. Quinn cenił sobie intymność przebywania z Jackiem i Maggie, ale wybór w tym wypadku należał do Jacka.

- Przemyśl to, co ci powiedziałem! - zawołał za nim Jack.

Quinn nie odwrócił głowy i zdecydowanym ruchem zamknął za sobą drzwi.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Michelle i Jack pojawili się w porcie punktualnie o siódmej. Maggie i Quinn już na nich czekali, a na powitanie załoga podała szampana na pokładzie udekorowanym balonikami i lampionami. Wystrój przygotowali gospodarze. Chcieli zrobić Jackowi niespodziankę - przyjęcie maturalne. Quinn wypisał mu dyplom i podpisał się pod świadectwem ukończenia szkoły. Pod koniec kolacji wręczył je swemu „studentowi”. Jack, gdy zrozumiał sens żartu, wzruszył się do łez. Maggie, która zdążyła zaprzyjaźnić się z Michelle, gratulowała jej tak udanego partnera. Gdy spojrzenia mężczyzn się spotkały, Quinn tylko potrząsnął głową i mocno uściskał Jacka. W jego oczach zakręciły się łzy.

Jack bardzo przeżył tę uroczystą i wzruszającą chwilę. Spośród ludzi, których poznał, jedynie Quinn i Maggie byli dla niego tak dobrzy. Quinn otworzył przed nim zupełnie nowe horyzonty i możliwości. Michelle ucałowała go i usiadła obok. Bała się trochę Quinna i Maggie. Była znacznie od nich młodsza, miała dopiero dwadzieścia cztery lata. Widać było jednak, że kocha i podziwia Jacka.

Po drugiej kolejce szampana Quinn odciągnął Jacka na bok. Kobietom wcale to nie przeszkodziło w rozmowie, przeciwnie. Maggie czuła się, jakby rozmawiała z córką. Michelle dopiero co ukończyła szkołę pielęgniarstwa i uważała, że Jack jest mężczyzną jej życia. Quinn i Jack znaleźli się tymczasem na górnym pokładzie. Dłuższą chwilę obserwowali gwiazdy.

- Mam pewien pomysł, który dotyczy ciebie - zaczął Quinn i zapalił cygaro. - A właściwie propozycję. Liczę na to, że ją przyjmiesz. Zaangażowałem już załogę na jacht, mam kapitana. Zamustrują się we wrześniu, przed wodowaniem. Chciałem ciebie spytać... poprosić... żebyś się do nas przyłączył.

- Na próbny rejs? - Jack był zaskoczony.

Bardzo chciał dowieść, że Quinn w każdej sytuacji może na niego liczyć. Pochlebiało mu, że może coś zrobić dla przyjaciela. Quinn zaśmiał się.



- Nie, przyjacielu. Myślałem o tobie jako o członku załogi „Vol de Nuit”. Mógłbyś zacząć jako praktykant, a że uczysz się szybko, czego dowiodłeś, raz-dwa zostałbyś kapitanem.

- Mówisz serio? Miałbym być u ciebie marynarzem? - W pierwszym momencie Jack był uskrzydłony. Rzuciłby wszystko, byle iść za ukochanym mistrzem. Zaraz jednak zaczął myśleć realistycznie i mina mocno mu zrzedła.

- Uważasz, że nie podolasz? Nie ma powodu. Na pewno sobie poradzisz - powiedział Quinn, sądząc, że Jack się obawia ryzyka. - Zdecyduj się. To będzie przygoda twojego życia.

- Byłaby, ale nie mogę - rzekł cicho Jack.

- Dlaczego? - Quinn był zaskoczony i mocno rozczarowany.

Oczekiwał, że Jack poprosi o czas do namysłu, że da się skusić. Przecież propozycja była niezwykle atrakcyjna. Jack pod wpływem Quinna bardzo się zmienił. Bardziej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

- Będę studiować. Dostałem się na uniwersytet stanowy, na architekturę. Zamierzałem od razu wam o tym powiedzieć, ale ten dyplom od ciebie i w ogóle... Tak się przejąłem, że zapomniałem. Mam różne plany, ale to wymaga czasu. Chciałbym być architektem. Gdyby nie twoja pomoc, Quinn, nie mógłbym nawet o tym marzyć. Późno zaczynam, i nie mogę pozwolić sobie na roczny rejs. Chociaż, Bóg mi świadkiem, strasznie bym chciał z tobą popłynąć - wyznał Jack głosem pełnym emocji.

- Mogłem przewidzieć, że nie opłaci mi się uczyć cię czytać - zażartował Quinn.

Duma walczyła w nim o lepsze z pretensjami. Rzeczywiście chciał zabrać Jacka w rejs. Nie brał pod uwagę uczestnictwa Maggie, natomiast z Jackiem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Nadal zamierzał się nim opiekować, nauczyć wszystkiego, uczynić zeń żeglarza z prawdziwego zdarzenia. Nie udało się, a mimo to odczuwał satysfakcję, że jego podopieczny zdecydował się na studia.

- Dużo wody upłynie, zanim zdobędę dyplom. Może będę już siwym staruszką, ale uparłem się i zrobię to. Będę się uczył wieczorami, bo przecież muszę pracować. No i... - zawahał się Jack - ...zareczyłem się z Michelle. Chcemy się pobrać w Boże Narodzenie.

- Ale byłeś zalatany, chłopie! Kiedy ci się to wszystko udało zrobić? - Quinn był zaskoczony. Musiał przeboleć to, że wyprawa z Jackiem nie dojdzie do skutku, choć tak się na to cieszył. Byliby ciągle razem, jak ojciec i syn. Musiał jednak szanować życiowe wybory młodego przyjaciela.

- Kiedy byliście w Holandii.

- W takim razie przyjmij moje najserdeczniejsze gratulacje. - Quinn wyciągnął dłoń, a Jack ją uścisnął.

Quinn czuł się tak, jakby to ukochany syn opuszczał dom, by podjąć studia i założyć własne gniazdo. Były to tak ważne powody, że Jack nie mógł popłynąć z nim na „Vol de Nuit”. Kiedy wrócili na dolny pokład, Quinn ze smutkiem spojrzał na Maggie. Nie uprzedził jej, na jaki temat chciał pertraktować z Jackiem, ale sama się domyśliła. Z jego spojrzenia wywnioskowała, że sprawy nie poszły tak, jak się spodziewał.

- Trzeci muszkieter z piątkowego klubu podjął ważne życiowe decyzje - powiedział żartobliwym tonem, nie okazując rozczarowania. Napełnił kieliszki szampanem. - Jack we wrześnie podejmuje studia - dodał, a Maggie słuchała jego przemowy z żywym zainteresowaniem. - Poza tym w Boże Narodzenie bierze ślub z Michelle.

Narzeczona Jacka zarumieniła się na te słowa, a Maggie zawołała „Och!”. Serdecznie wyczuła Jacka, a potem Michelle, gratulując jej dobrego wyboru. Quinn wznosił kolejne toasty, najpierw szampanem, potem koniakiem. Młoda para opuściła jacht o pierwszej w nocy. Gdy nadeszła pora spoczynku, Quinn wyglądał jak zbity pies. Maggie mogła mu tylko współczuć.

- Chciałeś, żeby z tobą popłynął, prawda? - spytała ostrożnie.

- Skąd wiesz? - powiedział, kładąc głowę na poduszce.

- Bo cię znam. Od razu przyszło mi to do głowy. Dałeś mu nowe życie, byłeś pewny, że zrobisz z niego żeglarza. Jego wybór jest słuszny, będzie procentować. Nie martw się. Posag, który dostał od ciebie, jest ważniejszy od pływania. Stał się innym człowiekiem i osiągnie w życiu sukces, a wszystko dzięki tobie.

Maggie z miłością uśmiechnęła się do Quinna. Jeszcze nigdy nie kochała go tak mocno jak teraz. Podziwiała jego wrażliwość, szczodrość, zrozumienie dla innych. Kiedyś ludzie odbierali go zupełnie inaczej, ale to należało do przeszłości. Ona знаła go tylko w tym wcieleniu i za to właśnie go pokochała, podobnie jak Jack, który widział w nim ideał i mistrza. To już nie był człowiek, który walczył na śmierć i życie z rywalami i przeciwnikami w interesach, który zaniedbywał Jane, którego znienawidziła rodzona córka. Dzisiaj Quinn rządził się prawami serca, a nie pieniędzy czy władzy, którą miał nad innymi. A w tej chwili - poniżony i urażony - wydawał jej się jeszcze lepszy, bardziej szlachetny.

- Bardzo jesteś nieszczęśliwy? - spytała.

- Moje ego zostało zranione, a z drugiej strony się cieszę. Studia dobrze mu zrobiją. Jaka jest Michelle? Lubisz ją?

- Bardzo miła dziewczyna. Uwielbia Jacka.

Michelle wydała się Maggie bardzo młoda i niedoświadczona, ale podobnie widziała Jacka. Oboje byli naiwni i w jakimś sensie niewinni. Uznała - a przynajmniej miała nadzieję - że razem będą bardzo szczęśliwi.

- To nie wystarczy. - Z głosu Quinna przebijała gorycz. - Trzeba czegoś więcej, żeby się związać. - Quinn wiedział, co mówi, bo doświadczył porażki na własnej skórze.

- Może tak, może nie - brzmiała ostrożna odpowiedź Maggie. - Może na początku wystarczy zaufać sobie i drugiemu człowiekowi.

- Za dobrze się znam, żeby sobie zaufać - Quinn odwrócił ku niej głowę - ale tobie ufam, Maggie - dodał z uczuciem, które poruszyło ją do głębi.

- I dobrze robisz, Quinn. Ufam ci całkowicie. Quinn tego akurat nie chciał od niej usłyszeć. Żałował, że te słowa zostały wypowiedziane.

- To głupota, Maggie. Co będzie, jak cię zranię? - Zadając to pytanie, zdawał sobie sprawę, że już to zrobił, podejmując decyzję o wyjeździe. Jednak była dorosłą kobietą, świadomą konsekwencji swoich wyborów.

- Nic złego nie możesz mi zrobić, Quinn - odparła szczerze. - Przynajmniej świadomie. Będzie mi ciebie brakowało, gdy odjedziesz, i to bardzo. Wiem o tym. Ale to nie ma nic wspólnego z krzywdą. Postawiłeś sprawę jasno, niczego nie udawałeś. To kłamstwa niszczą związki. Reszta to tylko życiowe sprawy, których nie możemy ani przewidzieć, ani im zapobiec. Co się dzieje potem, to już indywidualna sprawa. Dwoje ludzi nie może dać sobie gwarancji na szczęście, Quinn. Tylko trzeba postępować uczciwie.

Quinna zżerała myśl, że tego właśnie w życiu nie robił. W dodatku nie mógł cofnąć czasu, nie mógł niczego naprawić. Jane żyła uczciwie do końca swych dni. Podobnie postępowała Maggie, sądząc z tego, co wiedział o jej życiu. On nie. Były mąż Maggie także nie. Quinn musiał żyć z tą gorzką świadomością, nie było od niej ucieczki. Ból, który zadał bliskim, wrócił do niego niczym bumerang. Nie chciał, by Maggie stała się jego kolejną ofiarą, choćby była na to gotowa. Pragnął, by żyła szczęśliwie, nawet gdyby miało to oznaczać, że już nigdy się nie spotkają. Zamierzał chronić ją przed sobą, uważał, że nie zasłużył na jej miłość. Podobnie jak nie zasługiwał na miłość Jane. Codziennie czytał o tym w jej dziennikach.

- Nie obwiniaj się o wszystko, co złe - wyszeptała Maggie, przytulając się do niego w ciemności.

- Muszę, a ty nie bądź dla mnie taka wyrozumiała - odparł z goryczą.

Wciąż przeżywał zarówno odmowę Jacka, jak i to, że odejście od Maggie. Teraz tryumfalny rejs ku wolności na wspaniałym jachcie wydawał mu się symbolem porażki. Zawiódł Jane, zawiedzie i Maggie. Zgodziła się na krótki związek, bo on tego chciał. Pokochała go, a mimo to zgodziła się na rozłąkę. Odbierał to jako przejaw silnego uczucia, na które nie zasłużył. Za wiele pytań. Za wiele odpowiedzi.

- Kocham cię, Quinn - wyszeptała nagle Maggie.

Zobaczył jej twarz w świetle księżyca, które wpadło do kabiny. Leżeli bez ruchu, po czym Quinn przytulił Maggie mocno, bardzo mocno. Chciał odpłacić jej wyznaniem, bo odczuwał to co ona. Jednak słowa uwieźły mu w gardle i tylko samotna łza spłynęła mu po policzku.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Lipiec i sierpień minęły w idyllicznym nastroju. Quinn doprowadził do porządku sprawy związane z testamentem Jane, każdy zabytkowy przedmiot został opisany i przesłany na aukcję do Sotheby's do Nowego Jorku. Kilkakrotnie dzwonił do Alex, proponując, by wybrała te meble po matce, które chciałyby zatrzymać. Poprosiła o kilka ulubionych oraz portret Jane, resztę kazała oddać do przechowalni, twierdząc, że nie ma na nie miejsca w domu. Za każdym razem chciała jak najszybciej zakończyć rozmowę. Quinn nie widział się z nią przeszło rok, od dnia pogrzebu. Pewnego razu, gdy żeglowali z Maggie, opowiedział jej o tym. Spędzali ze sobą dużo czasu; Jack brał udział w piątkowych kolacjach. Cieszył się obecnością starych przyjaciół bez Michelle, która nie miała o to do niego pretensji.

- Co ja mam z Alex zrobić? - spytał Quinn. - W żaden sposób nie mogę do niej dotrzeć. Kompletnie wykreśliła mnie ze swojego życia.

- Kiedyś to przemyśli - odparła Maggie. - Może wtedy, kiedy sama znajdzie się w trudnej sytuacji. Nie mogłaby cię skreślić, Quinn, przecież jest twoją córką. Potrzebuje ciebie, podobnie jak ty jej.

- Nie potrzebuje - odrzekł z przekonaniem i poczuciem klęski. - Ma męża i dzieci. Ja dla niej nie istnieję.

- Chce cię karać, ale tak nie będzie zawsze. Któregoś dnia pojmie, jakim jesteś człowiekiem. Mimo że nie poświęcałeś jej dość czasu, zrozumie, dlaczego tak postępowałeś.

- Tego nawet ja nie rozumiem. Ciągle żyłem w biegu. Wydawało mi się, że tworzę coś bardzo ważnego i całkowicie się temu poświęciłem. To był

najważniejszy cel, ważniejszy niż dzieci i Jane. Wszystko podporządkowałem budowaniu imperium, kolejnym zyskownym interesom, kontraktom, które czekały na biurku. Nie zdawałem sobie sprawy, że życie mi ucieka. - Mówiąc to, Quinn był całkowicie świadom, że życie umyka zbyt szybko, a niewykorzystane szanse pozostają stracone na zawsze.

- Wielu mężczyzn tak żyje - współczująco powiedziała Maggie. W tym momencie Quinn pożałował, że to nie ona, lecz Jane była jego żoną. Poczul się winny, ale Jane nadal pozostawała ofiarą, nie partnerką. Po tym wszystkim, co sama przeszła, Maggie rozumiała go o wiele lepiej, czasem zdawało mu się, że lepiej niż sam siebie rozumiał. Była zupełnie inna niż Jane. - Nie jesteś jedynym, który tak postępował. Zdarza się, że z tego powodu żony odchodzą od mężów, a dzieci wściekają się na ojców. Ludzie czują się oszukani, kiedy nie dostają tego, czego oczekiwali. Nie chcą dostrzec, że człowiek, od którego tyle się spodziewają, akurat w tej chwili niewiele może im dać. Albo odnosi się sukcesy w pracy, albo jest się idealnym ojcem rodziny. Zresztą kobiety dokonują podobnych wyborów. Skupiają się na karierze kosztem życia rodzinnego. Trudno ze wszystkim nadażyć - tłumaczyła Maggie. Quinn jednak wiedział swoje. Teraz już wiedział. Krzywdził tych, których kochał najbardziej, a ta prawda objawiła mu się, kiedy już było za późno. - Dlaczego nie zaprosisz Alex do Holandii? Pokaż jej łódź.

- Nie cierpi jachtów - odpowiedział, przymykając oczy w słonecznym blasku. Poglądził włosy Maggie, która oparła głowę na jego ramieniu.

- A jej synowie?

- Są za mali. Jeden ma siedem, a drugi dziesięć lat. Alex nigdy nie oddała mi ich pod opiekę. Poza tym nie znam się na dzieciach, nigdy nie zajmowałem się własnymi. Czym miałbym zająć chłopców na łodzi? - Już sam pomysł wydał się Quinnowi absurdalny.

- A ja myślę, że mielibyście razem mnóstwo zabawy. Masz akurat tyle lat ile trzeba, żeby nauczyć ich żeglarstwa. Na tak dużej łodzi jak „Vol de Nuit” będą całkowicie bezpieczni. Nawet Alex trudno byłoby protestować. Gdyby chciała,

mógłbyś kazać załodze opiekować się wnukami. Mieliby wspaniałe wakacje. Czemu jej nie zaproponujesz, że zabierzesz chłopców w próbny rejs?

Quinn myślał o tym, ale nie na serio, bo nie mógł uwierzyć w to, że córka zaakceptuje taki pomysł. Szczególnie po tym, jak jej brat stracił życie na wodzie. Alex nienawidziła żagli, choć Maggie miała rację, jak zawsze. Na łodzi klasy „Vol de Nuit” chłopcom nic nie groziło, chyba że wskoczyliby do wody przy pełnej prędkości. Czego by nie zrobili, oczywiście. Byli dobrze ułożeni i cechowali się wszystkim, tylko nie brawurą.

- Muszę to przemyśleć - odrzekł Quinn i pochylił głowę, żeby pocałować Maggie. - Jesteś dla mnie za dobra - wyszeptał, przypominając sobie, jak się kochali nad ranem.

Ich związek rozwijał się harmonijnie, ale bez nudy - bo taki właśnie charakter miała Maggie. Była kobietą, o jakiej mógłby marzyć każdy mężczyzna. Spokojna i zrównowazona, w zaciszu sypialni wzbudzała niesamowitą namiętność. Zakochiwał się w niej coraz bardziej, choć słowa miłości nie chciały mu przejść przez gardło.

W czasie weekendu popłynęli z Jackiem i Michelle wzdłuż wybrzeża do Santa Barbara. Morze było wzburzone. Takie Maggie lubiła najbardziej, ekscytowały ją fale. Tymczasem Michelle dostała choroby morskiej i Jack tłumaczył się przed Quinnem, że dziewczyna nie ma jeszcze wprawy. Kiedy się żegnali, była bardzo zawstydzona.

- Biedne dziecko - powiedziała Maggie, gdy siadali do kolacji. - Lubię ją.

Quinnowi wydawała się zbyt młoda i za mało bystra dla takiego mężczyzny jak Jack.

- Będzie dla niego dobra - przekonywała go Maggie. Widziała więcej i dalej niż Quinn, który wciąż chciałby mieć Jacka przy sobie na „Vol de Nuit”. Dla niego liczyła się przygoda, dla Jacka stabilizacja i rodzina. I wykształcenie, do którego przedtem nie aspirował, a teraz miał w zasięgu ręki, oczywiście za sprawą Quinna. - Ofiarowałeś Jackowi coś więcej niż rejs dookoła świata. Dzięki tobie może spełnić swoje marzenia. Nikt tyle dla niego nie zrobił.

- Zaledwie nauczyłem go czytać. Każdy mógłby - powiedział skromnie Quinn, lecz Maggie potrząsnęła głową.

- Chodzi o to, że nikt przed tobą tego nie próbował.

Quinn zaprzeczył, ale w głębi duszy był szczęśliwy.

Zawiazali trwałą przyjaźń na całe życie, poza tym to Jack sprowadził do niego Maggie. Przypomniawszy sobie, jaka była spięta i nieśmiała podczas pierwszego wspólnego wieczoru. Teraz kwitła i cieszyła się wspólnymi rejsami. Wiedział, że wciąż wspomina zmarłego syna, ale już nie dostrzegał w jej oczach wyrazu bezsilnej rozpacz, który zapamiętał, gdy zobaczył ją podczas pamiętnej burzy.

- Gdyby nie ten huragan... - powiedział jej pewnego dnia. - Wyrwał mi dziurę w dachu, ale przez tę dziurę wleciałaś do środka ty. Szczęśliwy traf.

- Dla mnie jeszcze szczęśliwszy niż dla ciebie - odparła, pieczętując słowa pocałunkiem.

Uczucie, jakie w nim rozkwitło przez ostatnie miesiące, było głębokie. Z Jane było zupełnie inaczej. Ich związek opierał się na szacunku i lojalności, akceptującym towarzystwie, kiedy byli razem, a ze strony Jane mocnym uczuciu i nieskończonej cierpliwości. Związek z Maggie, o tyle młodszą, był o wiele bardziej żywy i radosny, a także bardzo namiętny, jak sama Maggie.

Ostatnie dni sierpnia spędzili we wspaniałej komitywie na morzu. Byli ze sobą tak blisko jak to tylko możliwe, także dlatego, że pamiętali o nadchodzącym rozstaniu. Zamiast się stopniowo oddalać, Maggie każdego dnia okazywała mu więcej miłości, a i Quinn pokonał wewnętrzne opory. Przy niej czuł się tak bezpiecznie jak jeszcze z nikim. Był głęboko przekonany, że może jej zaufać w każdej sprawie. W dodatku nocny koszmar, który kiedyś go dręczył, od miesiąca czy dwóch w ogóle się nie pojawiał. Wspominał Jane, ale ze spokojem. Był prawie pogodzony ze sobą.

Quinn rozstał się z Maggie jedynie na czas przeprowadzki. Wszystko, czego nie potrzebował, odesłał do przechowalni. Rzeczy wybrane przez Alex wyekspediował już wcześniej. Do Holandii zamierzał zabrać tylko kilka walizek ubrań i osobiste dokumenty. Czas między ostatecznym wylotem a wyprowadzką planował



spędzić na pokładzie „Molly B”. Zrobiło mu się nieswojo, gdy patrzył na robotników opróżniających dom z mebli. Ścisnęło mu się serce za każdym razem, gdy jakiś ulubiony przedmiot ładował na ciężarówce. Tak jakby zabierali ze sobą słupy milowe, wyznaczające dotąd drogę jego życia. A gdy dom był już zupełnie pusty, popatrzył wokół, czując ból i żal.

- Żegnaj, Jane - powiedział głośno.

Odpowiedział mu pogłos w pustej sypialni, gdzie zmarła. Odniósł wrażenie, że ją tu zostawił. Znow, po czternastu miesiącach żałoby, porzucił Jane. Przygłębiło go to i w takim nastroju spotkał się z Maggie wieczorem na pokładzie „Molly B”.

- Dobrze się czujesz? - spytała z troską.

Przytaknął, ale cały wieczór milczał. Żyli tu razem jak w domu, a raczej dużo lepiej niż w domu należącym do niego i Jane, gdzie nigdy nie czuł się swobodnie. Spróbował zwierzyć się Maggie z uczuć, jakie nim miały.

- Ze mną było podobnie, kiedy wyprowadzałam się z domu po śmierci Andrew. Tak jakbym go tam zostawiała. Miałam wyrzuty sumienia. Ludzie wynosili meble, a ja stałam i płakałam. Potem jednak byłam zadowolona, że przeprowadziłam się na Vallejo. Gdybym nadal mieszkała w tamtym domu, nie doszłabym do siebie. Tam żyłam z Charlesem, tam zmarł mój syn. Nie mogłabym tam żyć dalej, dzień po dniu - powiedziała Maggie. - Zobaczysz, będzie ci dobrze na jachcie - dodała wielkodusznie.

Nigdy nie wyraziła żalu, że się rozstają. Quinn był pod wielkim wrażeniem, że w ani jednym punkcie nie złamała ich umowy. Żałował, że nie popłynął z nim w rejs próbny. Wylatywał ostatniego sierpnia - pierwszego września Maggie zaczynała pracę w szkole. Planował wrócić jeszcze na krótkie dwa tygodnie. Do ostatniej chwili nie zdecydował się zadzwonić do Alex, mimo że Maggie bardzo na to nalegała. Tak jakby się bał. Ostatniego wieczoru, nim poszli do łóżka, usiadł przy biurku i wykręcił numer. W Genewie było już rano.

- Meble doszły - poinformowała Alex rzeczowo, gdy tylko usłyszała głos ojca.  
- Dziękuję. Wszystko jest w doskonałym stanie. Musiałeś wydać fortunę na transport.

Istotnie, Quinn przesłał meble samolotem.

- Twoja matka by tego chciała - zapewnił.

Niemal widział, jak córka sztywnieje na wzmiankę o Jane.

- Cieszę się, że mam jej portret - powiedziała Alex i po chwili zapytała: - A właściwie gdzie ty mieszkasz?

Quinn wyjaśnił, że oddał meble do przechowalni. Wolał to zrobić jeszcze przed wodowaniem jachtu. Chciał mieć dla siebie ostatnie dwa tygodnie i spędzić je z Maggie, dlatego zgodził się przekazać dom nowym właścicielom przed umówionym terminem.

- Wypożyczyłem łódź na lato. Zatrzymam się na niej, kiedy po próbnym rejsie wrócę z Europy do San Francisco, zresztą tylko na dwa tygodnie. Potem zaokręnię się na łódź w Holandii i popłynę do Afryki. A tak przy okazji, to dzwonię do ciebie właśnie w tej sprawie.

- W sprawie wynajętego jachtu? - Alex była zaskoczona, ale znacznie mniej spięta niż na początku rozmowy, co dawało nadzieję na porozumienie.

- Nie, w sprawie próbnego rejsu. Jutro rano lecę do Amsterdamu. Chciałbym zrobić przystanek w Genewie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie zawiadamuję całym miastem - powiedziała ostro Alex, co zabolowało Quinna.

- Chciałem cię odwiedzić. Nie widziałem twoich chłopców od zeszłego lata.

Ledwo mnie znają.

Alex już chciała powiedzieć, że też go nie znała, ale po raz pierwszy się powstrzymała.

- Tak naprawdę to mam dużo lepszy pomysł - ciągnął Quinn. - Zastanawiałem się, czy może... czy ty byś... no, czy pozwoliłabyś im popłynąć ze mną w próbny rejs. Ciebie i Horsta też oczywiście zapraszam, ale wiem, że nie lubisz morza. Dla

Christiana i Roberta byłyby to fantastyczna przygoda, a dla mnie ogromna przyjemność.

Zapadła długa cisza. Alex nie wiedziała, co powiedzieć, póki się dobrze nie zastanowiła.

- W próbny rejs? - powtórzyła. - Nie wydaje ci się, że są za mali? Nie można ich spuścić z oka. Czy to bezpieczna łódź? - Kiedy zasypywała go pytaniami, wrogość zdawała się ulatniać.

W głębi duszy wzruszyło ją, że ojciec chce zaopiekować się chłopcami.

- Najbezpieczniejsza w świecie. - Quinn się roześmiał. - W przeciwnym razie sam miałbym kłopoty. To fantastyczny jacht, Alex. Chłopcy oszaleją z zachwytu. Ty też, jeśli tylko zechcesz przyjechać - powtórzył, by wiedziała, że o niej pamięta. Wszyscy wiedzieli, że nigdy jej to nie bawiło; tę niechęć wpoić jej Jane. Żeglarską smykałkę zdecydowanie przejął po nim Doug.

- Muszę porozmawiać z Horstem - powiedziała, wyraźnie zmieszana. Ale przynajmniej od razu nie odmówiła. Poza tym Quinn usłyszał w jej głosie nowe nuty, bardziej przyjazne.

- Zadzwoń, zanim wystartuję. Lecę przez Londyn, a stamtąd do Genewy to ledwo żabi skok. Podobnie jak z Genewy do Amsterdamu.

Quinn nagle poczuł nadzieję, że plan wypali; Alex powoływała się na męża tylko po to, by zyskać na czasie. Trudno było uwierzyć, że puści z nim chłopców, ale Maggie miała rację - należało przynajmniej ją spytać. Alex nie wiedziała o istnieniu Maggie, bo Quinn nie uznał za stosowne jej poinformować. Za pięć tygodni ostatecznie rozstanie się z Maggie, a Alex nic by nie przyszło z wiadomości, że w ostatnim czasie ojciec kogoś miał. Tylko by ją zabolalo, że zdradził pamięć matki. Quinn wolał milczeć. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Maggie, która uśmiechnęła się do niego.

- I co powiedziała?

- Że musi naradzić się z mężem. Nie wydarła się na mnie, że zwariowałem, ani nie mówiła, że prędzej umrze, niż powierzy mi dzieci. To już coś.

- Wierzę, że się zgodzi - wyraziła swoje zdanie Maggie.

Resztę nocy Quinn poświęcił kobiecie, którą kochał. Cierpiał na myśl, że ją zostawi. Żałował, że razem nie popłyną w próbny rejs i że wspólnie nie poznają wszystkich możliwości „Vol de Nuit”. Ten pierwszy rejs miał trwać trzy tygodnie, potem Quinn planował wrócić na dwa tygodnie do San Francisco. Zaproponował Maggie, by swobodnie korzystała z „Molly B”. Podziękowała, ale uznała, że bez niego będzie czuła się samotnie na pokładzie. Wzruszył się tym.

Miłosna noc była cudowna. Maggie ani na moment nie pozwoliła sobie na myśl, że to już koniec. Mieli przecież w perspektywie jeszcze dwa tygodnie i dopiero wtedy nastąpi ostateczne rozstanie. Wiedziała, że będzie to bardzo trudne, ale skoro obiecała, zamierzała dotrzymać słowa.

Następnego ranka Quinn zadzwonił do Alex i z drzeniem serca czekał na jej decyzję. W Genewie była pora obiadu; słyszał w tle głosy chłopców.

- Co powiedział Horst? - spytał, dając Alex szansę na wymówkę, gdyby jej potrzebowała. Mogła odwołać się do zdania męża.

- Ja... On... Zapytałam chłopców - przyznała uczciwie urywanym głosem. - Chcą jechać z tobą - dodała.

W oczach Quinna zakręciły się łzy. Nie zdawał sobie sprawy, jak wiele znaczy dla niego rodzina i jak bardzo zależy mu na córce. I choć usłyszał to, czego oczekiwał, nadal spodziewał się odmowy. Jeszcze nie powiedziała „tak”, i zapewne nie powie.

- Pozwolisz im? - spytał ostrożnie, modląc się w duchu o jej zgodę.

Mało znał Christiana i Roberta, a teraz nadarzała się okazja, by to nadrobić.

- Tak, tato - odparła cicho. Po raz pierwszy od lat okazała mu zaufanie i szacunek. Do tej pory spotykały go z jej strony tylko złość i pretensje. Teraz wszystko się zmieniło. - Musisz mi obiecać, że będziesz ich pilnować. Chris jest jeszcze mały, ale Robert to bardzo niezależna natura. Nie pozwól mu wspinać się na maszty i podobne wariactwa. - Zaufanie było najpiękniejszym prezentem, jaki Alex mogła ofiarować ojcu. Topór wojenny został zakopany.

- Pojedziesz z nimi? - ponowił propozycję, ale została momentalnie odrzucona.

- Nie mogę. Jestem w szóstym miesiącu.

Quinn był zaskoczony. Uświadomił sobie, jak niewiele o sobie nawzajem wiedzą. Ta rozmowa była jednak znacząca, otwierała nową erę w ich wzajemnych stosunkach.

- Obiecuję, że będę się nimi dobrze opiekował - zapewnił Quinn. Nie dopuścił Alex do tragedii, jaka przeżywali oboje z Jane, ale córka miała za sobą traumatyczne doświadczenie, czyli śmierć brata. Zaciążyło to na jej życiu. Stąd wzięła się jej chorobliwa nadopiekuńczość wobec synów, o której donosiła mu Jane. Tym więcej znaczyła teraz jej zgoda na to, by dzieci z nim wyjechały. Był to wspaniały i wielkoduszny gest przebaczenia. - Dziękuję ci, Alex. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy - powiedział.

- Mama by tego chciała - odburknęła.

Quinn wcale nie był tego taki pewien, wiedząc, jak Jane nienawidziła wody, ale nie zamierzał spierać się z córką. Zapewne cieszyła się tak jak on z poprawy stosunków między nimi.

- Wymienię bilety na lotnisku i jutro przylecę do Genewy. Powiem ci, o której będę i kiedy wylecimy z chłopcami do Holandii. Najwygodniej byłoby, gdybyś odwiozła ich na lotnisko. Moją wizytę możemy odłożyć do naszego powrotu z rejsu. Odpowiada ci to? - Quinn nie miał pewności, czy byłby, nawet teraz, mile widzianym gościem w jej domu.

- Będę na ciebie czekała - powiedziała cicho. Nie licząc męża i dzieci, Alex miała tylko jego na świecie. - Jak długo z tobą zostaną? - spytała.

- Próbnny rejs trwa trzy tygodnie, ale mogę odwieźć ich wcześniej, jeśli muszą iść do szkoły. Mogę to sam zrobić albo polecieć komuś z załogi, jak wolisz. Oczywiście chciałbym się z tobą zobaczyć.

- Możesz ich trzymać, jak długo zechcesz, tato. - Chłopcy mogli śmiało opuścić parę tygodni szkoły. Alex była pewna, że spodoba im się na jachcie dziadka.

Musieli odziedziczyć żeglarską żyłkę, bo od najwcześniejszego dzieciństwa interesowali się łodziami.

- Dzięki, Alex. Zadzwoń później.

Samolot wylatywał o szóstej, a Quinn miał jeszcze kilka spraw do załatwienia, w tym wizytę u adwokata. Maggie nie mogła doczekać się wiadomości z Genewy.

- Jadą ze mną - powiedział Quinn ze łzami w oczach.

Maggie otoczyła go ramionami i pocałowała, a potem wykonała szalony indiański taniec radości. Była szczęśliwa, bo Quinn był szczęśliwy. Doskonale rozumiała, jak ważny jest dla niego ten dowód przebaczenia, najbardziej utęskniony dar.

Quinn spakował walizkę i pojechał do adwokata. O trzeciej byli umówieni w domu Maggie, która obiecała odwieźć go na lotnisko. Przyjechał w garniturze, z aktówką i pod krawatem. Walizka leżała w bagażniku. Maggie ubrała się czarną mini i pantofle na obcasach. Wyglądała pięknie i młodo. Quinn nie miał serca od niej odjeżdżać.

- Żałuję, że cię ze mną nie będzie - wyznał, gdy jechali samochodem.

- Ja też żałuję - odparła, wspominając ich wspólną krótką podróż do Holandii sprzed trzech miesięcy, kiedy po raz pierwszy zobaczyła „Vol de Nuit”.

Łódź była jej jedyną rywalką o względy Quinna, a musiała przyznać, że jest wspaniała i zasługuje na zwycięstwo. Właściwie to zwyciężyło jego pragnienie wolności. Z nim Maggie nigdy nie próbowała walczyć. Takie było jego życie, takie warunki ich miłości. Zaakceptowała ten układ.

Na lotnisku pocałowali się na pożegnanie. Obiecał, że zadzwoni najszybciej, jak się da, kiedy tylko odzyska zasięg. Albo z budki, a już na pewno ze stoczni Tema Hakkerja.

- Baw się dobrze - powiedziała Maggie z czułym uśmiechem. - I ciesz się wnukami! - zawołała za nim. Quinn odwrócił się, spojrzął jej prosto w oczy i powiedział donośnie:

- Kocham cię, Maggie.

Po raz pierwszy padły te słowa. Dłużej nie mógł się powstrzymać po tym, co Maggie dla niego zrobiła, przede wszystkim w sprawie Alex. Nie zamierzał powtarzać starych błędów i ukrywać swoich uczuć. Maggie zasługiwała na jego szczerłość. Podbiła go bez reszty, więc usłyszała należne sobie wyznanie.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Quinn zadzwonił do Alex z lotniska. Odebrała zaspana - u niej była już pierwsza w nocy. Szybko podał jej numer lotu z Londynu, powiedział dobranoc i odłożył słuchawkę. Cieszył się na spotkanie z córką i był szczęśliwy, że znów będzie miała dziecko. Dla Jane byłaby to cudowna wiadomość. Szybko jednak w jego myślach miejsce Jane zajęła Maggie. Nie zdawał sobie sprawy, jak trudno będzie mu się z nią rozstać. Na początku wszystko wydawało się łatwe i proste - rozstanie będzie jak odwinięcie bandaża, czasowo przyłożonego na ranę.

Maggie przez ostatnie miesiące chroniła poranione serce Quinna. Bez niej znowu będzie mało odporne, wystawione na ciosy. Quinn jednak nie miał wyboru. Gdyby odwlekl rejs, zależność od niej tylko by się pogłębiła, a przecież nie mógł jej ze sobą zabrać. Byłby to jego zdaniem błędny krok. Poprzysiągł pamięci Jane, że odpokutuje za wszystkie grzechy w samotności. Był pewien, że koszmary nocne skończyły się dzięki temu postanowieniu. Zawarł układ z własną świadomością i postanowił go honorowo dopełnić. Inaczej poczucie winy zżerałoby go do końca życia.

Potrzebował samotności na łodzi, miał żyć tylko dla siebie, i, tak jak powiedział Maggie, potrzebował wolności. Był przekonany, że nie zasługuje na nowe uczucie. Musiał odejść. Maggie też tego potrzebowała. Powinna wrócić do ludzi, nawiązać nowe przyjaźnie i odnowić stare, zacząć jeszcze raz karierę zawodową. Włączenie jej ze sobą dookoła świata byłoby wyrazem egoizmu z jego strony. Musiał dotrzymać raz danego słowa, niezależnie od tego, jak bolesne będzie

rozstanie. Tak rozmyślał Quinn, ale gdzieś z tyłu głowy kiełkowało pytanie, czy naprawdę aż tak bardzo pożąda wolności.

Kiedy samolot wystartował, poczuł się lepiej. Próbował sobie wytłumaczyć, że nadmiernie silne przywiązanie do Maggie wynika z tego, że on się starzeje i że rozstanie to najlepsze wyjście dla nich obojga. Miłość do Maggie traktował jako oznakę swojej słabości. Nie mógł sobie na nią pozwolić.

Już na początku lotu Quinn zasnął, co mu się wcześniej nie zdarzało. W Londynie przesiadł się w ciągu zaledwie paru minut na samolot do Genewy. Dotarł punktualnie i pierwszą osobą, którą zobaczył na lotnisku, była Alex. Miała długie rozpuszczone włosy, co upodabniało ją do Maggie, choć była blondynką. Zdał sobie sprawę, że mimo różnicy wieku Maggie wygląda równie młodo. Wzruszył się, zobaczywszy wypukły brzuch córki. Nigdy przedtem nie widział jej w ciąży, ani z Christianem, ani z Robertem. Zrobiła kilka nieśmiałych kroków. Chłopcy szli za matką, dźwigając plecaki. Byli niesamowicie podobni do Alex. Dwóch rozbrykanych blondasów śmiało się i przedrzeźniało. Alex spojrzała ojcu prosto w oczy zatroskanym, poważnym wzrokiem.

- Jak minął lot? - zapytała, unikając fizycznego kontaktu.

Nie wyciągnęła ramion, nie ucałowała go. Stała jak na baczność i tylko patrzyli na siebie. Od pogrzebu Jane, kiedy po wielkiej kłótni wyjechała bez pożegnania, nie widzieli się ani razu.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział Quinn z uśmiechem.

Marzył o tym, by przytulić córkę, ale wiedział, że to ona musi zrobić pierwszy krok.

- Dzięki, tato. - Łzy zakreśliły się w oczach Alex i Quinna w tej samej chwili. Rozwarła ramiona, a on przytulił ją, jakby była małym dzieckiem. - Tak za tobą tęskniłam - wyszeptała, hamując szloch.

- Ja też, maleńka, ja też...

Stali tak razem, a chłopcy krążyli wokół nich. Kiedy Quinn puścił Alex, chłopcy wczepili się w niego jak małpki, zarzucając go pytaniami. Zdziwiło go, że



mówią po angielsku ze szwajcarskim akcentem. Horst i Alex rozmawiali z dziećmi po francusku, ale malcy równie swobodnie mówili po angielsku. Wziąwszy córkę za rękę, Quinn usiłował odpowiadać na pytania dzieci.

Do odlotu mieli jeszcze godzinę, więc Quinn zaprosił ich do kafeterii na lody. Chłopcy byli zachwyceni. Paplali bez przerwy, a Alex szła z uśmiechem, trzymając ojca pod ramię. Wyglądała bardzo atrakcyjnie mimo zaawansowanej ciąży. Quinn pomyślał, że spodobałaby się Maggie. Był pewien, że by się polubiły.

- Świetnie wyglądasz, tato - powiedziała Alex, kiedy już cała trójka pałaszowała lody.

Quinn wziął tylko kawę; wciąż odczuwał skutki zmiany czasu. Patrzył z miłością na córkę, czując, że uleciały z niej złość i gniew. Nie miał pojęcia, jak tłumaczyć tę zmianę, ale był zadowolony, że do niej doszło.

Pół godziny później wchodził z chłopcami na pokład samolotu lecącego do Amsterdamu, gdzie mieli być o wpół do ósmej, a na jachcie dwie godziny później. Uprzedził załogę o przyjeździe; główna stewardesa obiecała zająć się dziećmi. Quinn nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko. Był to winien Alex. Gdy się żegnali, powiedział, by nacieszyła się trzema tygodniami spędzonymi tylko z mężem. Obiecał też, że odstawi wnuków natychmiast, gdy tylko zaczną tęsknić za domem. Gdy ostami raz do siebie machali, miała łzy w oczach.

Chłopcy okazali się bardzo absorbujący. Quinn był wdzięczny stewardesom, które próbowały ich czymś zająć. Przyniosły dzieciom soki i książeczki do kolorowania. Przez całą drogę śmiali się i żartowali. Quinn był zachwycony, bo choć nie widzieli się od ponad roku, nie odczuwał obcości. Wciąż wypytywali o łódź, co sprawiło, że cały czas był ożywiony, zapominając o braku snu. W Amsterdamie oczekiwali go kapitan, bosmanmat i Tem Hakker. Mat zabawiał chłopców przez całą drogę do portu. Oszłomiła ich wielkość jachtu i podziwiali go, póki stewardesa nie wyciągnęła ich do kuchni na kolację.

Quinn także zaaprobował wygląd jednostki i zadał Hakkerowi mnóstwo pytań, uzyskując satysfakcjonujące odpowiedzi. Zarówno Tem, jak i jego synowie mieli

popłynąć w próbny rejs. Kurs dla „Vol de Nuit” Quinn wyznaczył wcześniej. Gdy wszystko było gotowe, poszedł do swojej kajuty i zadzwonił do Maggie.

- No i jak? - spytała szybko. W Ameryce było dopiero wczesne popołudnie i miała nadzieję, że Quinn się odezwie, wyczekiwała tego. - Jak tam chłopcy?

- Wspaniale. Zachowują się tak, jakbyśmy się nie widzieli tydzień, a nie rok. Bardzo im się podoba na pokładzie. - Gdy Quinn zajrzał do ich kabiny, spali jak zabici. Jakby ktoś ich nagle odłączył od źródła zasilania. Była jednak obawa, że odeśpią zmęczenie i już od rana znowu zaczną szaleć.

- Jak wygląda „Vol de Nuit”? - spytała Maggie.

- Piękniej niż kiedykolwiek. - Quinn marzył, by Maggie zobaczyła łódź, ale oboje wiedzieli, że to raczej mało prawdopodobne. Quinn obiecał jednak przywieźć mnóstwo zdjęć po próbnym rejsie.

Rozmawiali już pół godziny, Quinn opowiadał jej o wszystkich szczegółach. Na wodzie „Vol de Nuit” prezentował się dużo lepiej niż w doku. Jeszcze nie był oficjalnie ochrzczony - Quinn zamierzał dopełnić rytuału w pałdzierniku, przed wypłynięciem z portu w rejs. Matką chrzestną i gospodynią małej uroczystości miała być żona Tema Hakkerja. Quinn chętnie poprosiłby Alex, ale nie chciał narażać jej na trud podróży z Genewy.

- Opowiedz mi o Alex - poprosiła Maggie.

Quinn uśmiechnął się, wyczuwając w jej głosie napięcie.

- To zupełnie inna osoba, niż pamiętam. Pewnie taka, jakiej nigdy nie znałem. Czuję, że mi przebaczyła, była taka miła i dobra. Nie zasłużyłem, ale jestem jej za to wdzięczny.

Quinn był także wdzięczny Maggie, która namówiła go na odnowienie kontaktów z córką. Jej dyskretne uwagi już wcześniej nieraz dobrze nim pokierowały, ale rozwiązanie konfliktu z Alex było najważniejsze. Ogromnie za nią tęsknił. Patrząc na nią, przypominał sobie Jane, tak bardzo córka była do niej podobna.

- Zasłużyłeś - stwierdziła Maggie, po czym dodała ze wzruszeniem: - Dziękuję za to, co mi powiedziałeś na lotnisku. - O takich słowach marzyła, to był jego największy pożegnalny dar.

- A co powiedziałeś? - postanowił się z nią podroczyć Quinn.

Nie mógł się doczekać, kiedy ją znów zobaczy w San Francisco. Próbny rejs był także wystawieniem na próbę jego potrzeby wolności. Dla przysięgi zawartej z samym sobą w imię długu, jaki miał wobec Jane, musiał poświęcić miłość, która zrodziła się między nim a Maggie.

- Powiedziałeś, że mnie kochasz - przypomniała mu Maggie. - Tego nie da się już cofnąć.

- Nie chcę niczego cofać.

Słowa niczego nie zmieniały. Quinn i tak miał ją opuścić. Ale opuścić z miłością w sercu, tym większą, że bez perspektyw na szczęście. Z jednej strony nie chciał jej ranić, z drugiej wiedział, jak bardzo potrzebne jej było to wyznanie. Kochał ją, a to dawało jej szczęście.

Niebawem skończyli rozmowę. Quinn po paru minutach mocno zasnął na nowym miejscu. Był potwornie zmęczony, ale i szczęśliwy. Pokład „Vol de Nuit” stał się teraz dla niego domem.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Rejs próbny wypadł doskonale. „Vol de Nuit” przeszedł z łatwością wszystkie próby. Wnukowie Quinna bawili się jak nigdy. Załoga okazała się dobrana idealnie, a czas mijał niepostrzeżenie. Quinn kilka razy dzwonił do Maggie. Skarżyła mu się, że jest wyczerpana i zestresowana, że zapomniała, na czym polega praca w szkole. Nie zawsze radziła sobie z uczniami, ale poza tym była zadowolona, że ma tyle zajęć. Nie mogła się doczekać powrotu Quinna, który z kolei postanowił kontaktować się z nią znacznie rzadziej, niż mu dyktowało serce. Pomału musiał wycofywać się z tego związku, by ostateczne rozstanie mniej bolało. A ten moment zbliżał się nieubłaganie.

Quinn wiedział, że kiedyś znów się zobaczą, nie chciał zapomnieć o Maggie. Zamierzał telefonować do niej od czasu do czasu, ale nie mógł i nie chciał zabrać jej z sobą. Zapadła decyzja i dotyczyła ich obojga. Niemniej jednak perspektywa spędzenia dwóch tygodni razem w San Francisco była cudowna, jak piękny pożegnalny prezent.

Niechętnie schodził z pokładu, a chłopcy płakali jak bobry, żegnając się z załogą. Quinn obiecał im, że będą mogli wracać tak często, jak tylko pozwolą im na to rodzice. Patrzył na wnuków i cieszył się, że życie przedłuża się w dzieciach. Uprzytomnił sobie, że Robert wygląda zupełnie jak Doug w jego wieku, różnił ich jedynie kolor włosów. Jane powtarzała, że ich syn jest podobny do Quinna, ale teraz, patrząc na wnuka, dostrzegał wyraźne podobieństwo Douga do Jane, choć ona była blondynką, a on brunetem, jak Quinn. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech lat boleśnie odczuł jego brak. Wreszcie mógł sobie pozwolić na przyływ uczuć. Stał się tak otwarty i wrażliwy, że o mało nie popłakał się na widok Alex, która oczekiwała ich na lotnisku.

W domu córki spędził cały wieczór. Chłopcy opowiadali rodzicom o morskich przygodach. Nie było wątpliwości, że rejs z dziadkiem zapamiętają na całe życie. Sprawowali się cudownie i byli dla wszystkich bardzo mili. Następnego ranka,

jeszcze przed wylotem, Alex ponownie podziękowała Quinnowi, wyznając, jak ważne było dla niej to spotkanie. Gniew się ulotnił, choroba nienawiści została w cudowny sposób uleczona. Alex wyznała, że się o to modliła.

- Jak wytrzymasz na tej swojej łodzi, tato? - spytała z troską.

Samotne życie nie wydawało jej się atrakcyjną perspektywą, choć poprzedniego wieczoru Quinn zapewniał, że tego właśnie potrzebuje.

- Będzie mi bardzo dobrze - odparł z przekonaniem. - Tam jestem najszczęśliwszy.

Naprawdę w to wierzył, przez minione trzy tygodnie żył w stanie ciągłego podniecenia. Jacht spełniał wszystkie jego oczekiwania, i to z naddatkiem. Byłoby cudownie, gdyby nie brak Maggie. Była niczym promień słońca w deszczowy dzień, ale teraz nadszedł czas wkroczenia na samotną ścieżkę. Tego właśnie chciał, i miał co do tego pewność.

Obiecał Alex, że odwiedzi ją po narodzinach dziecka. Mógł przylecieć z dowolnego portu, prawdopodobnie z Afryki, gdzie planował spędzić zimowe miesiące i pozwiedzać nieznane miejsca. Wraz z kapitanem dyskutowali o tym godzinami i okazało się, że Sean Mackenzie ma mnóstwo świetnych pomysłów. Quinn był już jedną nogą na morzu, gdy spędzał czas w San Francisco.

Maggie od razu wyczuła to jego psychiczne oddalenie, choć na pozór zachowywał się tak jak przed wyjazdem. Były jednak subtelne różnice. Nie umiała ich określić, ale już po pierwszej wspólnej nocy wiedziała, że dojrzał do odejścia. W uściskach Quinna nie czuła dawnego żaru. Orzeł rozwinął skrzydła i nie miała sposobu, by go zatrzymać w locie.

Była szalenie zaabsorbowana szkołą i nie mogła poświęcać Quinnowi tyle czasu, ile w wakacje. Przenieśli się na łódź, gdzie, zamiast odpoczywać, musiała sprawdzać klasówki i przygotowywać się do zajęć. Przez te trzy tygodnie uczniowie mieli więcej czasu dla siebie, jednak nie mogła całkowicie zaniedbywać swoich obowiązków. Quinn był zajęty finalizowaniem różnych spraw. Tak naprawdę łączyły ich noce. Dopiero leżąc w jego ramionach, Maggie mogła okazać siłę swej

miłości, i podobnie było z Quinnem. W ciągu dnia bardzo się pilnował. Musiał postępować delikatnie, nie chcąc przysparzać jej stresów. Zmienił się - nie był już dawnym egoistą, altruistyczna strona jego natury wzięła górę. A osobą, na której uczuciach zależało mu najbardziej, była Maggie.

W czasie weekendu żeglowało im się wybornie. Pogoda dopisywała. Było słonecznie i ciepło, a wiatr akurat taki jak trzeba. W piątek zjawił się na kolacji Jack, który z entuzjazmem opowiadał o zajęciach na uczelni i planowanym ślubie z Michelle. Quinn zaoferował się oddać im łódź na miesiąc miodowy, ale Jack uprzejmie odmówił. Michelle, inaczej niż Maggie, nie czuła się dobrze na wodzie.

Pierwszy tydzień minął Maggie i Quinnowi w dobrych nastrojach. Długo rozmawiali w ciemności, przypominając sobie wszystkie wspólne dobre chwile, aby je zmagazynować na czas, kiedy już nie będą razem. Jednak dla Maggie oczekiwanie na wyjazd Quinna było jak planowanie czyjejś śmierci i pogrzebu. Wszystko było ustalone. Maggie wiedziała, że będzie to dla niej doświadczenie tak makabryczne jak odłączenie od respiratora. Choć od początku była na to przygotowana, nie sądziła, że tak trudno będzie to znieść.

W drugim tygodniu wybuchały sprzeczki. Musiało tak być. Maggie co noc śnił się Andrew albo Charles i budziła się z krzykiem. Quinn nie mógł na to nic poradzić, chyba że zmieniłby plany życiowe i został, ale tego z kolei Maggie po nim nie oczekiwała. Dni mijały, a ona powoli umierała, jakby pozbawiono ją powietrza i energii. Pod koniec trzeciego tygodnia dyszała jak w agonii. Nic nie mówiła, Quinn jednak miał świadomość wagi swej decyzji i bezsilnie patrzył na skutki. Musiał ją zostawić, choć przez jeden szalony moment miał ochotę poprosić, by z nim pojechała. Wiązała go jednak przysięga dana Jane.

Maggie z kolei powinna wrócić do ludzi, pracować. Nie mógł z nią tak po prostu uciec na jacht. Byłaby to zdrada wobec Jane, choć perspektywa życia blisko Maggie wydawała się nadzwyczaj kusząca. Wyznał jej to, gdy siedzieli na rufie pod żaglami. Wyglądała jak półtora nieszczęścia i nawet nie próbowała tego ukryć.

- Nie wierzę, że ona by tego od ciebie wymagała - odpowiedziała Maggie, patrząc w fale, jak gdyby miała tam za chwilę rozrzucić własne popioły. - Czytałam jej wiersze. Ona cię kochała. Na pewno nie chciałaby, żebyś był nieszczęśliwy.

Quinn jednak nie był nieszczęśliwy. Niewątpliwie smutno mu było opuszczać Maggie, ale wybór samotnego, niemal klasztorowego życia paradoksalnie napełnił go spokojem. Potrzebował czasu, by uleczyć duszę. Zabrakło mu energii, by zaczynać nowe życie we dwoje. Dostatecznie spartaczył poprzedni związek. Nie chciał ryzykować z Maggie, zbyt ją kochał, by narażać na krzywdy. Oboje dość się nacierpieli. Chciał odejść i zostawić ją zadowoloną. Byli dla siebie dobrzy i dawali sobie nawzajem szczęście. Było, minęło. W poniedziałek wylatywał do Holandii. W piątek zjedli ostatnią wspólną kolację z Jackiem, którego Quinn pożegnał serdecznym męskim uściskiem.

W niedzielę Maggie milczała jak grób. Zresztą nie było o czym gadać. Wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, powtórzyli już tysiąc razy. Zazdrościła Jane daru układania wierszy. W sercu miała teraz tylko ból i poczucie straty. To uczucie przeżywała już nazbyt wiele razy.

Quinn leżał obok niej na pokładzie, trzymając ją za rękę. Trwali tak bardzo długo; załoga usunęła się dyskretnie, wiedząc, co się święci. Quinn zamówił wystawne menu z kawiozem i szampanem, ale Maggie ledwo tknęła kolację. Gdy poszli do kabiny, rozplakała się i patrzyła takim wzrokiem, że Quinn pożałował, że wrócił po próbnym rejsie. Może trzeba było obu stronom zaoszczędzić przykrości i nie pokazywać się już w San Francisco. Ale cokolwiek by zrobił, byłoby źle. Maggie przebrała się w nocną koszulę, ale zanim położyła się do łóżka, powiedziała to, czego najbardziej bał się usłyszeć.

- Quinn, błagam, zabierz mnie ze sobą.

- Nie mogę, Maggie, i świetnie o tym wiesz - odparł ze smutkiem.

- Nie, nie rozumiem. To wszystko nie ma sensu. Nie pojmuję, dlaczego musimy tak postąpić. - Łzy ciekły jej po policzkach.

- Taką zawarliśmy umowę - przypomniał.

- To było wtedy, a teraz jest inaczej. Wtedy się tak nie kochaliśmy. Kocham cię, Quinn.

- Ja też cię kocham, Maggie, ale wcześniej czy później byś tego pożałowała. - Chciał dodać, że na nią nie zasłużył, ale powstrzymał się. Ich związek miał jakąś skazę. Quinn wciąż czuł, że musi odpokutować za grzechy. Alex mu przebaczyła, podobnie jak Jane. Maggie zapewniała go, że to prawda. Problem w tym, że on sam wciąż sobie nie wybaczył. A póki to się nie stało, nie miał prawa do szczęścia. Musiał to zrobić w samotności, o czym próbował przekonać Maggie: - Dotąd krzywdziłem wszystkich, których kochałem. Córkę, syna, Jane... Jak mógłbym o tym zapomnieć? Czy nie możesz tego zrozumieć?

Z jej punktu widzenia Quinn rozumował jak Charles, który początkowo nie mógł sobie wybaczyć tego, co zaszło, ale potem ją obarczył całą winą. Tymczasem Quinn brał wszystko na siebie. Każdy z nich wymyślił inne powody do odejścia, ale to Maggie była wiecznie przegrana.

- Nie możesz w nieskończoność uciekać, Quinn - powiedziała z rozpaczą.

- Owszem, mogę - odparł. - Uciekałem kiedyś, i to było złe, przyznaję. Tym razem mam rację, Maggie. Będzie ci lepiej beze mnie.

Nie sposób było go przekonać, skoro się uparł. Maggie doskonale o tym wiedziała. Nawet nie chciał dopuścić jej do głosu w tej sprawie, choć próbowała.

- Na pewno nie będzie mi lepiej. Chcę być z tobą. Nie musisz się ze mną żenić, nie zdradzisz Jane. Pozostaniesz jej mężem na wieki wieków, amen. Ja tylko chcę być razem z tobą. Jak możesz to odrzucać? Jesteś szalony. - Maggie nie rozumiała Quinna; jego postępowanie uznała za absurdalne, przecież ją kochał. Dla Quinna z kolei miłość była jeszcze jednym powodem, by odejść. Musiał się poświęcić i odpokutować za wszystkie przeszłe winy, czy się to Maggie podobało, czy nie.

Przeplakała w jego ramionach całą noc. Rano oboje wstali z trudem. Maggie na siłę uruchomiła resztki energii, by się ubrać i towarzyszyć Quinnowi przy śniadaniu. Siedziała w milczeniu przy stole, a po policzkach płynęły jej łzy. Czuła się jak



po pogrzebie Andrew. Quinn był równie przygnębiony. Maggie wtedy nie rozumiała, dlaczego jej ukochany syn odebrał sobie życie, i teraz nie pojmowała, dlaczego ukochany i kochający mężczyzna odchodzi.

- Robię to, bo tak trzeba - cicho powiedział Quinn. - Nie utrudniaj mi tego, Maggie.

Kiwnęła głową i spróbowała się pozbierać. Quinn nie chciał, by odwiozła go na lotnisko, zresztą nie mogłaby. Przytulił ją i pocałował, usiłując zapamiętać tę chwilę na zawsze.

Wsiadając do taksówki, obejrzała się. Stał na pokładzie. Ich spojrzenia się zetknęły. Uniósł dłoń, a Maggie przesłała mu pocałunek. Taksówka zakręciła i łódź znikła jej z oczu. Maggie rozpaczliwie szlochała, z niepokojem obserwowana w lusterku wstecznym przez kierowcę. Podała adres domowy, bo nie miała siły pójść do szkoły.

Po przyjeździe siedziała w kuchni i patrzyła na wskazówki zegarka. W momencie odlotu Quinna opuściła głowę i znów zalała się łzami. Siedziała bez ruchu jak mumia. Trwało to kilka godzin. Wspominała wspólnie spędzone chwile, godząc się w duchu ze stratą. Bolało, ale musiała dotrzymać słowa. Z miłości wypuściła go na wolność, bo tego właśnie oczekiwał.

Siedziała z zamkniętymi oczami, życząc mu jak najlepiej. Niech się cieszy swobodą. Tymczasem Quinn, którego samolot zmierzał ku Europie, bezgłośnie płakał.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Przez kilka następnych tygodni Maggie żyła w żałobie jak wtedy gdy zabił się Andrew. Dni mijały, a ona patrzyła na świat jak przez grubą szybę. Brakowało jej energii, przestała się uśmiechać, nie mogła zasnąć, a gdy ludzie się do niej zwracali, ledwo reagowała. Czuła się wyobcowana, jakby żyła na planecie, której mieszkańcy porozumiewają się obcym dla niej językiem. Nie rozumiała tego świata. Chodzenie do pracy stało się istną torturą. Z trudem sprawdzała zadania i przygotowywała się do lekcji. Najlepiej by się czuła, gdyby nie wychodziła z domu i jedynie pielęgnowała wspomnienia. Każda zapamiętana chwila z Quinnem wydawała się jej bezcenna.

Maggie chciała jednak zrobić coś pożytecznego i znów, po dwumiesięcznej wakacyjnej przerwie, zgłosiła się do młodzieżowego telefonu zaufania. Cierpiała na bezsenność, a tu przynajmniej mogła się na coś przydać, choć z początku była w takim samym depresyjnym nastroju jak jej rozmówcy. Starła się jednak nie dać tego po sobie poznać. Żyła jak w sennym koszmarze. Wyjazd Quinna otworzył stare rany; powróciło dojmujące uczucie odrzucenia. Prześladował ją wieczny pech, czasem wydawało jej się, że jest martwa.

W piątek umówiła się na kolację z Jackiem, ponieważ nalegał. Nie bardzo miała na to ochotę, obawiała się, że jego obecność będzie jej przypominać Quinna. Zgodziła się, bo byli z Jackiem przyjaciółmi, przynajmniej to jej zostało. Jack też tęsknił za Quinnem. Tyle mu zawdzięczał, a tymczasem ów szlachetny, wielkoduszny Quinn uznał się za niepoprawnego grzesznika i uciekł do czyśćca. Zostawił Maggie numer telefonu na łodzi, ale dotąd udało jej się powstrzymać i nie zadzwoniła ani razu. Nie chciała ograniczać jego wolności, choć cena, jaką płaciła, była bardzo wysoka. Przed sobą widziała jedynie pustkę. Jack przyznał się, że nie ma humoru, bo poprzedniego dnia pokłócił się z Michelle. Teraz żałował, że nie przyjął propozycji Quinna i nie ruszył z nim na morze.

- Przynajmniej cię zaprosił - żałośnie stwierdziła Maggie.

- Myślę o nim za każdym razem, kiedy cokolwiek czytam. - Jack opowiedział Maggie o studiach. Było mu ciężko, ale ambitnie podszedł do sprawy i po zakończeniu college'u chciał zapisać się na architekturę. - Zostanę najstarszym młodym architektem w San Francisco - zażartował.

Maggie doszła do siebie dopiero w okolicy świąt Bożego Narodzenia. Starym zwyczajem spotykała się co piątek z Jackiem, choć nie grywali w kości. Gra była domeną Quinna. Zamiast tego siedzieli i wspominali Quinna. Te zwierzenia okazały się dla Maggie zbawienne.

Jack był jedyną osobą, z którą mogła rozmawiać o tym, co było dla niej najważniejsze. Spośród szkolnych znajomych nikt o niczym nie wiedział. Jack z kolei zdążył już tak zanudzić Michelle gadaniem o Quinnie, że nie chciała go więcej słuchać. Pozostawały mu rozmowy z Maggie. Ślub wyznaczono na tydzień przed świętami. Maggie obiecała Jackowi, że przyjdzie, choć nie zadała sobie trudu kupienia nowej sukienki, tylko wyciągnęła z szafy starą małą czarną. Jack powiedział jej, że dostał kartkę od Quinna. Na święta planował wyprawę do Genewy, do Alex. Jack chciał pokazać Maggie pocztówkę, ale nie chciała jej oglądać, wzruszać się i płakać, bo i tak nic innego nie robiła przez ostatnie dwa miesiące.

Michelle i Jack byli piękną parą i Maggie wierzyła, że będzie im razem dobrze. Podczas ślubu miała łzy w oczach, ale na przyjęciu powinna dobrze się bawić, a tymczasem popadła w ponury nastrój. Nie chciała z nikim zatańczyć. Chciała jedynie wrócić do domu, zamknąć się na cztery spusty i myśleć o Quinnie. Od śmierci Andrew rozstania były dla niej nie do zniesienia, a konsekwencje decyzji Quinna okazały się dla niej tragiczne. Niezależnie od tego trzeba było żyć dalej, bo to właśnie obiecała Quinnowi. Przy pierwszej okazji wymknęła się. W domu panowały błogi spokój i cisza.

W Wigilię Maggie poczuła, że wreszcie dochodzi z sobą do ładu. Zamiast się zastanawiać, ile lat szczęśliwego życia mogli mieć przed sobą, pobłogosławiła ślepy traf za to, że postawił na jej drodze Quinna, i za to, co razem przeżyli. Była

szczęśliwa, że poznała tego mężczyznę, tak jak cieszyła się, że kiedyś miała wspaniałego syna. Po raz kolejny okazało się, że ze stratą daje się żyć, można ją oswoić. Maggie walczyła z sobą, by nie zadzwonić do Quinna z życzeniami, i to się jej udało. Postanowiła poczekać, aż on odczuje potrzebę kontaktu. Tylko w duchu życzyła mu zdrowia i szczęścia. Miała co wspominać, tego nikt jej nie mógł odebrać. A kiedy poszła w niedzielę do kościoła, zapaliła świeczkę w intencji Quinna.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Wigilię Quinn spędził z rodziną córki w Genewie. O północy poszedł z nimi na pasterkę i, przypominając sobie stary zwyczaj, zapalił świeczkę dla Maggie. Alex dwa tygodnie wcześniej urodziła córeczkę i Quinn, tak jak obiecał, przyleciał ją zobaczyć. Zrobił to w zastępstwie Jane, która na pewno by tego pragnęła.

Chłopcy byli zafascynowani siostrzyczką, obcałowywali ją i nosili na rękach. Alex nareszcie miała trochę spokoju i mogła nacieszyć się ojcem. Długo rozmawiali przy karmieniu niemowlęcia. Te rodzinne sceny przypominały Quinnowi, ile razy w życiu zawiódł, nie wracając w porę do domu na święta, kiedy jego własne dzieci były małe. Przepraszał Alex, a ona zapewniała, że go rozumie. Fakt, że przyjechał do niej aż z Kapsztadu, był najlepszym zadośćuczynieniem. Wylatywał z powrotem pierwszego dnia świąt. Spędził z Alex cały tydzień i nieraz kusilo go, by opowiedzieć jej o Maggie. Nie zdecydował się jednak. Nadal uważał, że postąpił właściwie, choć dojmująca tęsknota, jaką odczuwał w ciągu dwóch miesięcy rozłąki, okazała się trudna do zniesienia. Był ciekaw, jak zareagowałaby Alex, gdyby dowiedziała się o tym romansie, ale nie znalazł w sobie dość odwagi, by wyjawić córce tajemnicę. Mogłaby uznać to za zdradę wobec Jane.

Quinn wciąż kochał pamięć Jane i często o niej myślał. Kiedy jednak siedział w nocy na pokładzie, wpatrzony w fale, oczami duszy widział tylko Maggie. O ile Jane należała do przeszłości, o tyle Maggie tkwiła w teraźniejszości. Tyle że

przyszłość nie istniała. Przeznaczeniem Quinna była samotność na „Vol de Nuit”, rozpamiętywanie sukcesów i porażek, wspomnianie ludzi, których kiedyś kochał. Cieszył się, że Alex przeszła do porządku nad przeszłością. Pożegnał czule całą rodzinę, zostawiając prezenty pod choinką. Tydzień wystarczył, resztę czasu powinni spędzić razem, zajęci nową małą istotką. Quinn nigdy nie lubił świąt, miał z nimi więcej złych skojarzeń niż dobrych. Późną nocą dotarł do Kapsztadu i z ulgą postawił stopę na pokładzie „Vol de Nuit”. Jacht stał się jego domem.

Po trzech dniach spędzonych na uzupełnianiu zapasów i wytyczaniu szlaku wypłynęli w kierunku Przylądka Dobrej Nadziei, wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki. Były tam miejsca niebezpieczne nawet dla tak dużej jednostki jak „Vol de Nuit”. Quinn nie chciał ryzykować życia swojego i załogi. Był pewien szczęśliwych wiatrów.

Po świątach pogoda się załamała. W drugim tygodniu stycznia dopadły ich deszcze. Przeżyli trzydniowy sztorm, który skierował myśl Quinna ku tamtej, pamiętnej burzy w San Francisco. To wtedy po raz pierwszy ujrzął Maggie, przemoczoną i bezradną. Już sięgał po telefon, ale coś go powstrzymało. Rozmowa byłaby jątzeniem ran. Musieli się od siebie uwolnić. Chciał, by miała lepsze życie, niż on mógłby jej zapewnić.

Po tygodniu nieustającej ulewy zmienili kurs. I Quinn, i załoga mieli już deszczu powyżej uszu. Kapitan siedział nad mapami, próbując wcelować w lepszą pogodę, a tymczasem robiło się coraz gorzej. „Vol de Nuit” trzęsła się na falach jak łupina orzecha. Tylko Quinna i kapitana oszczędziła morska choroba. Quinn żartował, że marynarzy trzeba będzie przypiąć pasami do koi. Leżał w łóżku, kiedy usłyszał trzask. Wyrzwał przez bulaj i zobaczył ogromne fale. Natychmiast się ubrał i pobiegł na mostek, do kapitana. Nowy kurs wprowadził ich w samo oko cyklonu. Na mostku, prócz kapitana, tkwił bosman i pierwszy inżynier. Sprawdzali radar i dane o prędkości wiatru. Spienione fale rozbijały się o sterówkę. Wydawało się, że zniszczą maszt, choć Quinn był przekonany, że wytrzyma.

- Mamy huśtawkę - powiedział bagatelizująco. Kapitan zmarszczył brwi. - Damy radę? - Quinn nie bał się o wytrzymałość łodzi. „Vol de Nuit” została przygotowana na każdą pogodę. Należało przetrwać sztorm.

- Niedaleko są paskudne rafy - powiedział kapitan, sprawdzając radar i aparat hydrolokacyjny. - Jakiś tankowiec nadaje S.O.S. Marynarka przed chwilą odpowiedziała na sygnał, ale zdaje się, że nie zdołają ich uratować.

- Prawdziwy huragan, co? - Quinn zachowywał się, jakby ten problem ich nie dotyczył. Jednak już po chwili dodał: - Niech ludzie włożą uprząż i kamizelki ratunkowe. Czy mamy przy burtach liny bezpieczeństwa?

- Od godziny. - Wszyscy mieli na sobie kamizelki ze światłami odblaskowymi i karabińczykami, którymi przypinali się do lin. Było jasne, że utrata równowagi i wypadnięcie za burtę przy takiej pogodzie równały się śmierci.

- Proszę uczulić ludzi na niebezpieczeństwo. - Quinn wydał rozkaz bosmanowi. Sam wyszedł na pokład, żeby sprawdzić, co robią członkowie załogi. Podobnie jak inni, miał na sobie uprząż ze światłami. Kapitan nie wypuściłby go inaczej ze sterówki. Quinn był zadowolony z tej ostrożności.

Od strony kambuza dobiegły jego uszu kolejne trzaski. Kadłub się zatrzęsł. Quinn bał się tylko o maszt. Nie mieli właściwie nic do roboty; nawałnicę należało przeczekać. Oczywiście ludzie się denerwowali, bo sytuacja była mało komfortowa. Nawet Quinn zaczął się bać, może pierwszy raz w życiu. Takiej fali jeszcze nie widział. Wznosiła hektolitry wody na wysokość siedemdziesięciu i osiemdziesięciu stóp. Nawet dla „Vol de Nuit” było to wzywianie. Quinn przebijał wzrokiem ciemności, gdy nagle z dziobu dobiegł go krzyk. Młody marynarz poślizgnął się i o mało nie wypadł za burtę. Złapało go dwóch innych, przyczepionych do lin zabezpieczających. Bezradnie pełzali po pokładzie i wydawało się, że minęła wieczność, póki się nie pozbierali.

- Wszyscy do środka! - wrzasnął Quinn, wymachując rękami.

Marynarze czepiali się pokładu i z trudem wpełzli do sterówki, ociekając wodą. Quinn musiał przyznać, że jeszcze w życiu nie widział podobnego sztormu,

chyba że na filmach. Zaczął bać się o łódź. Ludzie mocowali, co się dało, ale i tak meble i rzeczy trzaskały i pękały.

Quinn nie martwił się o straty materialne, tylko o bezpieczeństwo załogi. Ludzie byli przerażeni.

- Będzie o czym opowiadać - powiedział dla rozładowania napięcia.

Jacht zatrzęsł się, kiedy kolejna potężna fala przechyliła go na bok. Quinn nie chciał okazać strachu, więc tylko przeklinał pod nosem obrany kurs. Wydawało się, że wszystko dobrze wykalkulować tymczasem pogoda spletała im paskudnego figla. Pozostawało im modlić się o przetrwanie.

Ranek był szary i pochmurny, wiatr wydawał się silniejszy, a fale jeszcze większe. Do sterówki przyszły stewardesy. Kapitan przezornie kazał wszystkim siedzieć w kamizelkach. Rysowała się możliwość, że jednak nie wyjdą z tego cało. Porozumieli się przez radio z najbliższą jednostką. Powiedziano im, że tankowiec zatonął i nikt nie zdołał uratować się w szalupach. Istotnie, w takiej sytuacji nie było szans. Tuż po dziewiątej usłyszeli kolejny sygnał S.O.S. Zaginęła flotylla kutrów rybackich. Quinn i kapitan wymienili długie spojrzenie. Ktoś zaczął się głośno modlić. Quinn podejrzewał, że po cichu modlili się wszyscy. Chętnie zaoferowałby tym ludziom coś mocniejszego, by choć trochę podnieść morale, jednak wszyscy musieli być w pełnej gotowości.

Wyglądał przez okno na fale i ulewny deszcz i nagle, mógłby przysiąc, ujrzał twarz Maggie. Pamiętając, co razem przeżyli, obiecał sobie, że jeśli teraz uda mu się wyjść cało z opresji, natychmiast do niej zadzwoni. Wydawało się to jednak coraz mniej prawdopodobne. „Vol de Nuit” osiągał granice wytrzymałości, a fale rosły i rosły, zamiast maleć. Panowało milczenie. Słysząc było rozbijające się o ściany sprzęty i kolejne niepokojące trzaski, dobiegające z dolnego pokładu.

- No cóż, kochani - spokojnie powiedział Quinn. - Stan jest krytyczny, ale mimo wszystko chciałbym uratować tę łódź. Kosztowała masę pieniędzy.

Pierwszy zaśmiał się głucho inżynier. Ludzie ożywili się i zaczęli gadać. Opowiadali o dawnych sztormowych przygodach, a Quinn podtrzymywał

konwersację. Jednak strach był niemal namacalny, a widok doświadczonych marynarzy w kamizelkach ratunkowych nie napawał optymizmem. Część nie włączała się do rozmowy, tylko paliła w milczeniu, a może się modliła. Quinn coś mówił, ale ani na chwilę nie przestał myśleć o Maggie. Czekala go straszna śmierć, a przecież zawsze chciał umrzeć na morzu. Zdawało się, że to nastąpi, tyle że znacznie szybciej niż przypuszczał. Cieszył się, że Maggie tu w tej chwili nie ma, bo wszystkiego jej życzył, tylko nie śmierci. Stewardesy płakały.

Następnym razem, gdy potężnie zatrzęsło łodzią, dwóch marynarzy zaczęło śpiewać. Stopniowo dołączali inni. Jeśli już mieli umrzeć, to z klasą, jak prawdziwi mężczyźni. Trwało to i trwało, aż koło południa znaleźli się na spokojniejszych wodach. Burza wciąż szalała, ale fale stały się mniejsze i nie tak silne, a łódź odzyskała równowagę. Wieczorem deszcz ustał, a wiatr przycichł. Zniszczenia były spore, lecz do północy załoga z grubsza uporała się z porządkami. Jachtem wciąż rzucało, lecz Quinn z kapitanem doszli do wniosku, że najgorsze minęło. Rano było już pewne, że im się udało. Po południu na silniku dotarli bezpiecznie do portu w Durbanie, wiwatując i płacząc ze szczęścia.

- Ten sztorm zapamiętam na całe życie - cicho powiedział kapitan, a Quinn potwierdził skinieniem głowy.

Czuł się podle. Przed ostatnie dwie doby, podobnie jak reszta załogi, zastanawiał się, co uczynił ze swoim życiem. W czasie sztormu zginęło na morzu ponad pół setki ludzi, a im udało się ująć cało. Nie przypadkiem. Gdy wpływali do zatoki, podziękował kapitanowi. Postanowili doprowadzić „Vol de Nuit” do doku w Holandii i tam dokonać koniecznych napraw. Najważniejsze, że wszyscy przeżyli. Quinn i kapitan byli prawie na sto procent pewni, że jacht pójdzie na dno. To był cud, że tak się nie stało. Po raz pierwszy w życiu Quinn był głęboko przekonany, że uratowało ich jedynie zrządzenie opatrności.



## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Maggie obudził odgłos ulewnego, bębniącego o szyby deszczu. Nie spała prawie całą noc, planując zajęcia na następny dzień i myśląc o testach, które powinna ocenić na pojutrze. Zaczynała wciągać się w pracę nauczycielską i cieszyć się z jej rezultatów. Dwa dni temu, za sprawą telefonu zaufania, udało jej się uratować od śmierci zdesperowaną czternastolatkę. Życie nabierało sensu, choć nie mogła powiedzieć, że czuje się szczęśliwa. Jednak myślała jasno i choć bywało jej ciężko na sercu, to jednak to uczucie nie towarzyszyło jej stale. Tylko wtedy, kiedy myślała o Quinnie.

Jednak już wyszła na prostą i była pewna, że kiedyś wspomnienia przestaną boleć. Już raz jej się udało, dlaczego więc nie miałyby udać się znowu? Czas leczy rany. Nauczyło ją tego doświadczenie z Andrew. Nie mogła pozwolić, by odejście Quinna zrujnowało jej życie. Musiała przetrwać; nie miała wyboru. Gdyby się poddała, każde jej słowo wypowiedziane do nieszczęśliwych dzieci byłoby kłamstwem, a na to nie mogła i nie chciała sobie pozwolić. Jeśli miała je z przekonaniem zapewniać, że życie mimo wszystko ma sens, sama musiała ów sens odnaleźć. Żałoba na wieki wieków po Quinnie nie wchodziła w rachubę. Nie stać jej było na to.

Wstała, wzięła prysznic i ubrała się. Wypiła kawę, zjadła grzanekę i połówkę grejpfruta. Narzuciła płaszcz od deszczu i wyszła na dwór. Lało, więc biegiem ruszyła do samochodu, powiewając czarnym warkoczem. I wtedy zobaczyła mężczyznę, który pędził w jej kierunku. Nie miała pojęcia, czemu do niej biegnie. Gdy wyciągnął ręce, odskoczyła gwałtownie. Złoczyńcy rzadko atakowali o rannej porze. Mężczyzna złapał ją i objął mocno, choć się wyrywała. Stał nieruchomo i przytulał ją do siebie. Był wysoki, więc osłaniał ją przed wiatrem. Złapała oddech i spojrzała mu w twarz. Miał krótkie włosy, był szczupły i tak samo przemoczony jak ona. To mógł być jedynie Quinn albo jego brat bliźniak.

- Co ty tu robisz? - spytała zaskoczona.

Przecież powinien być daleko w Afryce, a tymczasem był tu i ją tulił.

- Łódź o mało nie utonęła podczas silnego sztormu u wybrzeży Afryki.

Właśnie ją odstawiłem do doku w Holandii, do naprawy - powiedział. Maggie odchyliła się i znów spojrzała Quinnowi w twarz. Miał coś szalonego w oczach i wyglądał na bardzo zmęczonego. Odgadła, że niedawno wysiadł z samolotu, a i przedtem nie dosypiał od wielu dni. - Wiesz, przez szybę zobaczyłem twoją twarz, kiedy już mi się wydawało, że idziemy na dno. Przysiągłem sobie wtedy, że jeśli przeżyję, to zadzwonię. - Maggie patrzyła na niego podejrzliwie. Nie odzywał się tyle czasu, kiedy ona umierała z niepokoju.

- Ale tego nie zrobiłeś - zauważyła przytomnie, choć w tej chwili i w tych okolicznościach nie miało to znaczenia. Nie rozumiała, skąd się tu znalazł i co do niej mówi. Było tak, jakby Quinn posługiwał się nieznanym jej językiem.

- Nie zadzwoniłem. - W jego spojrzeniu było coś, czego dotąd nie widziała: pewność siebie i głębokie przekonanie, że wie, co robi. Jakby stary Quinn umarł i narodził się nowy i nareszcie wolny. - Wołałem cię zobaczyć. Wszystko w porządku?

Maggie kiwnęła głową i przypomniała sobie, jak lubiła pozostawać w jego ramionach. A przecież był to człowiek, który o mało jej nie unicestwił. Ocalała, po licznych zmaganiach, przeżywszy wewnętrzną burzę, podobnie jak on sztorm na morzu w pobliżu Afryki. Stali tak w deszczu, wpatrzeni w siebie, próbując dociec, co zostało z przeszłości. Trudno było ocenić, czy istnieje szansa powrotu do dawnego szczęścia.

- Miałem sen - odezwał się Quinn. - Śniła mi się Jane, kiedy już wracaliśmy do Holandii. Była szalenie spokojna. Powiedziała mi, że czuje się wspaniale i że zawsze mnie kochała. A na koniec uśmiechnęła się i odeszła. - Maggie wysłuchiwała tego i skinęła głową.

Oboje wiedzieli, co oznaczał sen. Ostateczne przebaczenie.

- Spóźnię się do szkoły - powiedziała.

Quinn jakby jej nie usłyszał.

- Będziesz ze mną? - Przebył sześć tysięcy mil, by zadać jej to pytanie. Wydobył się z dna piekła. W oku cyklonu, który omal nie pozbawił go życia, znalazł rozwiązanie. Śmierć zajrzała mu w oczy i otrzymał przebaczenie od umarłych. A skoro przeżył, to zasłużył sobie na Maggie. Nie bez przyczyny oczami wyobraźni ujrzął jej twarz krytycznej nocy. To była wizja i zarazem obietnica na przyszłość. Odnalazł wybaczenie i wolność. Wypełnił swoje zobowiązania, niemal przez nie zginął.

- Serio pytasz? - zapytała z niedowierzaniem, na które w pełni zasłużył.

- Jasne. A ty? Serio mi odpowiesz? Pojedziesz ze mną?

Maggie zastanawiała się przez chwilę, która Quinnowi wydawała się wiecznością. Wreszcie skinęła głową.

- Pojadę. A ty? Ciągłe mnie pragniesz? - wyszeptała w odpowiedzi, a on się roześmiał.

- Do cholery, o mało nie utonąłem razem z jachtem i tylko Bóg wie, dlaczego nas ocalił, bo ja na pewno nie wiem. Przyplłynąłem z Afryki do Holandii, a potem poleciałem do Nowego Jorku i trafiłem aż tutaj. Tak Maggie, pragnę cię. Co więcej, jestem największym idiotą, jakiego można sobie wyobrazić, i największym draniem na świecie. Obiecuję ci, że cię nie opuszczę. A jeśli nawet, to nie tak jak wtedy, w październiku. Musiałem otrzeć się o śmierć, żeby zrozumieć, co jest najważniejsze. - Quinn uklęknął w błocie, a Maggie się roześmiała. - A teraz, kiedy już wszystko wiesz, powiedz: chcesz ze mną być?

- Dobrze, dobrze, będę, tylko załatwię swoje sprawy w szkole. Muszę wystawić oceny za pierwszy semestr. Kiedy chcesz wyjechać?

- Wtedy, kiedy ty będziesz mogła. Łódź i tak pozostanie w doku co najmniej dwa, jak nie trzy miesiące. Mogę mieszkać u ciebie przez ten czas? - zapytał, a Maggie uśmiechnęła się w odpowiedzi. Był taki przystojny, tak bardzo jej się podobał. - Mogę cię odwiedzić do szkoły? - spytał, otrzymując w odpowiedzi milczącą zgodę. - Kiedy im powiesz, że wyjeżdżasz? - dodał, gdy Maggie wręczała mu kluczyki.

Wszystko to było cudowne i szalone, takie jak Quinn. Przejechał pół świata, by zapytać, czy ona chce z nim być.

- Dzisiaj. Zadowolony? - spytała, gdy ruszali z podjazdu.

Oboje byli przemoczeni do nitki. Quinn nagle zatrzymał samochód i zapytał:

- Czy już ci mówiłem, że cię kocham?

- Nie pamiętam, ale nietrudno się domyślić. Skoro przejechałeś pół świata, to chyba z miłości. Ja też cię kocham. A teraz szybko do szkoły, bo się spóźnię.

Przeraziłeś mnie. Myślałam, że to napad.

- Po prostu ucieszyłem się na twój widok. - Zrobił śmieszoną minę, wycofał samochód, dodał gazu i ruszył w dół Vallejo. Po drodze rozmawiali. Po wysłuchaniu opowieści o straszliwej burzy Maggie uznała, że mógł ich uratować tylko cud. I tylko cud sprowadził go do niej drugi raz. Od burzy się zaczęło i na burzy skończyło, przypomniała mu, przytulając się na pożegnanie.

Pomachała mu, stojąc w progu szkoły, a on patrzył, jak jej sylwetka niknie za strugami deszczu. To Maggie była największym cudem jego życia, do którego wniosła radość i przebaczenie. A przede wszystkim miłość, ten cudowny lek, który potrafi uleczyć każde zło.